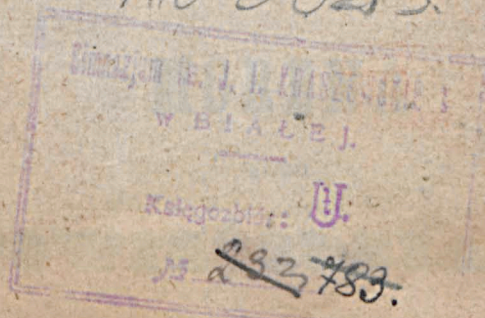




~~847~~ C.
Nr. inv. 869

Nr 3825

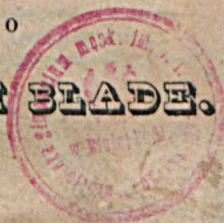


MORENA

ALBO

POWIEŚCI BIAŁE.

Delet. A
Znak 248
Nr inv. 2666



MORENA

ALBO

POWIEŚCI BLADE

PRZEZ

AUTORA AMERYTANIE W POLSCE.

They say my brain is warp'd and wrung.

WALTER SCOTT.

Księgozbiór:

223 189



Dzięk

Znak

278

2666

WARSZAWA.

Nakładem GOSZCZAŁA SŁOTKOWAŁD'a Księgarza,
przy Ulicy Miodowej Nr. 486.



1842.

ZA POZWOLENIEM CENZURY RZĄDOWEJ.

Nr. 1

AMHON

OBIA

WŁADYŚŁAW

WŁADYŚŁAW

211 22

*A
1832
1832*

ANASTAY

WŁADYŚŁAW

1831

TEONOWI HRABI

LUBIENSKIEMU

na pamiątkę przyjaźni



AUTOR.

Pismo mające zyskać miłość czytającego, więc wdzięczność, winno być zgodne ze smakiem i wymaganiem społecznym. — Winniśmy więc przeprosić czytelników powieści które dajemy, a przynajmniej *uprzedzić*. Powieści te nie są zgodne ze smakiem i wymaganiem społecznym.

Powieści które dajemy są bez węzłów, bez dziwów, nawet bez nazwisk ludzi, bez określeń (najczęściej) *szczegółów* ludzi otaczających. — Pisarze znakomitsi społecznie, wiemy, iż w powieściowych twórcach, inną trzymają się drogi. — Jakkolwiek w opowiadaniach swych za główny cel mają ludzi,

483

51
zajmują się jednak raczej określaniem *rzeczy*, nie *ludzi*. Przypominamy np. jedną ze znakomitych najnowszych powieści, która przez cały ciąg swęj treści opisuje *Dóm*; — inna, s tytułem historycznej, przez cztery tomy opisuje — *Statek*. Nie mamy prawa, uprzedzamy, mieścić się w tych rządach społecznych.

Naszym jedynym celem było: dać kilka obrazków *moralnych*, kilka urywków *prawdy* w tym kierunku; wskazać los kilku serc, które *dziś* nam zwykleszemi się zdają, lub też pewnych stosunków społecznych, które jeszcze istnieją. —



NAZWISKA POWIEŚCI

1. *Zaprzaniec.*
2. *Prospera.*
3. *Zymijo. Obraz we 4ch chwilach.*

384

10

NASZWIŚKA POWIĘSĆ

1. Napięcie
2. Prędkość
3. Ciężar

ZAPRZANIEC.

ZAPRZANIEC.

I.

Zachmurzone od poranka niebo, ku wieczorowi oblokło się w kiry wiszące i wśród nocy zdrojem łez zapłakało. Silny wiatr miotał krople rzesiste, częsty grom ciskał złociste blaski. Niedobra burza, połowę pięknej ziemi objęła.

Pośród domów i ulic *Miasta*:— od godziny była już ciemność i cichość, prócz głosów burzy. — Sztuczne światła wyglądające z okien ponikły, ognie ulic zwalczone burzą przygasły: bezsilny w zwężeniach wicher, w miejscach rozleglejszego rozejścia

się domów igrał swobodniój; deszcz się bił, to o mokry kamień, to o gładki marmur, to o blachę; grom błyskał, a błyskiem ukazywał przelotnie rząd jasnych domów, ich ciemne okna i ostre wzniesione w chmury wieże kościołów.—

Stała się była chwila przerwy i ciszy; a w jednej stronie miasta, w miejscu właśnie szerszego rozejścia się domów; z obu stron jednocześnie rozległ się odgłos nowy.— Z jednej strony wysoka wieża zawahała się i uderzyła *pierwszą*, z drugiej okno które ciemniało w górze, poruszyło się i otworzyło z wolna.— W oknie tém pośród cieniów zabielała i ukazała się *postać*.— Grom błysnął i rozświecił lice postaci.— Wzrok jój, co zdał się ścigać za ostatkiem burzy słabnącój, był szary, mglisty, i błędny, rzekłbyś chmura którą odbijał; włos złoty był rozrzucony w nieładzie, jakoby wichrem.— Przy każdym jaśniejszym błysku, silniejszym runieniu, był też widny, słaby uśmiech na bladém licu.— Czy ten uśmiech był wiecznym na tém licu gościem? czy też błyskał tylko dla gromu?— Za każdym głośniejszym wichrem, silniejszym wzburzeniem, wychylały się dalej twarz i ramiona postaci.— Zdaje się,

ściskać chciała te lecące tajnie, tych s krain nieziemskich przylotniów, wstrzymać bieg ich na téj ziemi śmierci, na ziemi bólów; wypytać ich o innych stronach światowych.— Rzekłbyś, owszem, iżby się chciała sama w jedną s tych tajni zmienić; wzlecić wichrem za te czarne chmury, albo z błyskiem skryć się w kraj gromów.—

Tę myśl o chmurach i niebie, nagle jednak zdała się przerwać *ziemia*.— Postać w oknie pilnie spojrziała na ziemię.— Ulicą, po mokrym bruku, przed jój oczami, pomimo ciemność i burzę, szedł człowiek, zatrzymując się, przypatrując i stając. Człowiek ten nie dopiero zapewne dom swój rzucił, był bowiem w ubraniu dzienném, i nie do domu snąc śpieszył; stanął bowiem i wsparty o ścianę domów, przypatrywał się burzy ostatkom.— Człowiek ten, był zapewne myśli podobnej do patrzącego przez okno, jednak nie jednej.— Błysk gromu rozświecał także na jego licu uśmiech, raczój jednak szyderstwa, nie szczęścia;— błysk gromu rozświecał także jego długie włosy i ubiór; ale ten ubiór jego był starannie strojnym, tak się przynajmniej zdawał;— jego włos nawet siłą wichrów był niespsutym.— Je-

šli człowiek o złotym włosie zajęty walką żywiołów, odepchnąłby każdą postać w tej chwili, co by s twarzą społeczną, językiem zwykłym, przerwać mu zamyślenie chciała; człowiek wsparty, zdało się, izby owszem był wdzięcznym, gdyby stopień rozrywki chciał mu kto zwiększyć.

Ciemne wszakże wzniesione okno, zamknęło się, a cień nocny był świadkiem kilku słów na bruku wymiany; wymiany, poprzedzonej obojętnem zbliżeniem, przedzielonej grzecznym skłonieniem zapytaniego. —

— „Przygoda to pewnie zrzędza, żeś panie, tu tak został śród burzy; przychylniejsza druga, sprawia, żeś postrzeżony; — masz tu bliski nocleg otwarty.“ —

— „Istotnie, przygoda zrzędza żeś tu tak został; — żelazo i twardszy sen naszych stróżów zamknęły mi ściany; — za twą uprzejmość, panie, czuć tylko wdzięczność mogę; i z niej korzystać.“ —

Proszący przewodniczył i pierwszy do bramy wstąpił; zaproszony podwoił kroku i unosząc się prawie szedł dalej. Człowiek z okna gonił ulicę całą, jednak napróżno. —

Człowiek z okna, jak to widzimy, był przyja-

ciem ludzkości, badaczem ducha: duch mniej zwykły był mu smaczniejszym nad inne, był mu szerszym badań przedmiotem, przyjaźni. Człowiek z okna uczuł był nagłą przyjaźń dla zbiega. — Stał chwil kilka śród miejsca, którego przekroczyć już nie chciał; wracał z wolna i oglądał się czyniąc ten powrót; — wrócił wreszcie i krokiem powolnym postąpił po schodach do siebie. — Nie rzekł on słowa do stróża który go przyjął, nie rzekł słowa do sługi który o zdrowie go pytał, nie rzekł słowa do przyjaciół, których miał siedem, które go nie spotkały gdy wchodził, ani o zdrowie pytały, które on jednak kochał, kochał s szaleństwem serca, s całą uludą uczuć i był *szczęśliwy*; serca ich bowiem, były to serca — s płótna.

Aryst (imie człowieka z okna) w treści ducha swojego, był s pewnej strony dzieckiem, był zapałanym dzieckiem swych rojeń, nadumysłowych igrzań, czcicielem sztuki. — Sztuka którą był ulubił nad inne, było to odbijanie przyrody we własnych jej rysach, tworzenie ich ręką ludzką i dotykaniem okiem. — Drżał on i śmiał się na widok arcydzieł tej sztuki; ścisnął utwór który sam wydał,

miłował go nad swe szczęście, nad życie;— i jeśli drżał o swe życie, to tylko gdy oglądał myśl w pół-sprawdzoną, czyn w półwydanym, plód w zawiązku— hańbą raczej nie nabytkiem sztuki będący.— Właśnie najznakomitsza z obecnych kochanek serca (bowiem kochanka nadziei), przyjaciółka s porządku ósma wzniosła *Klio*, miała wkrótce błysnąć nad inne, a dziś jeszcze stała ohydna, z ślepem okiem, z żółtością trupa, w lazaretowym łachmanie. Pędzle, palety, oleje, te narzędzia cudów fantazyi, otaczały ją u podnóża i obok.— Skrzydło myśli zdobiło ją w urok, w blask dzienny, tę mgłę przed-zorzową.— Poruszony żywiołów walką, lubo już od nich wolny, Aryst nie pomyślał jednak i o tym przedmiocie spółczucia; ze światłem w ręku ominął nawet i *Klio*.— *Noc i burza* wśród nocy, nie odstępne mi jego fantazyi się stały; zdmuchnął światło i usnął z marą.— Nazajutrz urządzone i rozciągnięte płótno, nowe już przedstawiało rysy.— Aryst był wielbicielem, twórcą wszelkich rodzajów lubej mu sztuki. Pracownią jego zdobiły wielkie obrazy z dziejów, krajowidoki ziemskie i licorysy ludzkie.— Noc burza i pośród tej burzy człowiek, jak stały po

śród fantazyi jego, tak się wkrótce wcieliły widomie.— Aryst upodobał w tym nowym tworze; zapomniana i odwrócona *Klio*, blady trup o jedwabnym włosie, nie rychło odzyskała swą władzę.

Jakie były zajęcia, szczegóły, dzieje, dni dalszych Arysta, nie wspominamy; dzieje te nie są głównym przedmiotem obecnej powieści, dotkniemy tu tylko tych, które są w związku (i stało się iż były nie raz w zbyt bliskim), z głównym przedmiotem.

— „Pan się zechce odwrócić na prawo, promień słońca tu skrzywia rysy, rysy trafne nie będą“ mówił Aryst do średniego wieku mężczyzny którego robił portret, w kilka podobno miesięcy po wypadku o którym rzekliśmy.—

— „Słucham, albowiem proszę o trafne rysy.“—

— „Rysy Pana w świetle właściwem będą trafne, bo są wydatne.“—

— „Co to są rysy wydatne?“—

— „Rysy wydatne są te, które uczucia moralne nam wyobrazają dobitnie.“—

— „Moje rysy są mi więc moim dowodem; są

wydatne, bo są skutkiem uczuć nie słabych;— uczucia moje nie są to uczucia dzisiejsze, — mgliste, ulatające i *mylne*;— uczucia moje są to uczucia silne, bo idą z ziemi, s której i ciała; żadna nauka, lub jak to dziś mówicie, wiedza nabyta, ulotna, chwytana, niepewna, nie była tych uczuć źródłem.“—

— „Rysy Pana zachowam starannie, bo są wpływem uczuć jednorodnych; rysy te które kształci gra uczuć różnorodnych, gra odcieni uczuć moralnych, wymagają baczności większej w schwyceniu; opuszczenie jednego zgięcia mało znacznego na pozór, zmienia tło twarzy.“—

— „Nie odpowiem, bo wyznać muszę iż nie rozumiem;— co to jest, coś mi Pan rzec raczył: gra uczuć różnorodnych? — Uczucia nasze wszystkie są jednorodne, jak rzekłem, idące z ziemi;— nasze uczucia moralne są tylko ku kierunkowi i ku pomocy w celach tych ziemskich.“—

— „Upraszałbym o dwie chwile przerwy, bo właśnie dochodzę do lica; usta Pana będąc wzruszone zmieniają lice, 'jakkolwiek nieodmieniały oczu.“—

— „Jakoż wzruszone usta odmieniałyby mogły oczy?“—

— „Są twarze w których je odmieniają.“—

— „Więc milczę;— a wyręczy mię w odpowiedzi P. *Edwin*.“—

Edwin, mężczyzna od mówiącego o lat parę dekad młodszemu, w pół wesół i w pół ponury, rzucił książkę której przerzucał karty i wstając niedbale z sofę, stanął przy oknie.—

— „Był czas żem przynosił księgi nad okna, rzekł, spory nad księgi, a nad spory (słowa te dodał *Edwin* szydersko) a nad spory — samotną i wyrabianą *myśl*. Lecz czas ten minął.— Dziś, główną treścią mej myśli, nie przyszłość, ale obecność; żywołem jęj, nie samotność, lecz ludzie; celem jęj, nie miłość ludzi, lecz siebie. Czas ten błoższy, nie pozabawiajcie go mnie;— błagam was, nie przyzywajcie mię do *sporów*.“—

Słowa te kończąc *Edwin*, krokiem wolnym odchodził od okna i zatrzymał się na chwilę koło roboty *Arysta*.— *Aryst* przerwał robotę i bawił się, jakby po zwycięstwie; spojrzął i patrzył przez chwilę na siedzący wzór swego dzieła z uśmiechem i tro-

skliwością dziecka; potem chwilę na dzieło z uśmiechem — matki; potem zwrócił się ku stronie Edwina, i rzekł:

— „W pracy méj czy postrzegasz piękność?” —

— „Nie.” —

— „Co rozumiesz przez *piękność* w sztuce?”

Edwin odszedł. —

— W przerysie méj twarzy (rzekł *Ernest*, wstając i patrząc), w przerysie méj twarzy jeżeli jest traśny, nie wiem czyli może być piękność; nie sędzę abym wyrazem méj twarzy mógł obudzać uczucie wstrętne, wiem jednak iż nie mam piękności rysów — choćby ze względu wieku. —

— „Czy *kształtność* czy *podobieństwo* rysów, stanowi piękność w obrazie?” —

— „Łącznie.” —

— „Na to nie zgoda; — piękność w sztuce, stanowi sztuka. — Piękność nie jest to kształtność, foremność, blask, równość; piękność, jestto własność *wrażenia*. — Miara *wrażenia* dzieła, jest miarą jego *piękności*. — Dostrzeżenie pewnej jednozgody (jak w portrecie) w dwóch sobie podobnych przedmiotach, przypomnienie lotu fantazyi która to

dostrzegła; tych popechnień moralnych, wewnętrznych, tych kierunków zewnętrznych które tworzyły; tworzy w nas to pewne uczucie zadowolenia, pociągu, którego nazwiskiem jest *podziw*; a nazwiskiem przedmiotu jest *piękność*. Piękność w sztuce, jest raczej jej wewnątrz nie zaś zewnątrz, piękność w dziele jest to, rzecz można, dusza, nie ciało dzieła. — Tak właśnie, dodał po chwili *Aryst*, tak właśnie jak w pociągu ku utworom żyjącym, w tym pociągu którego imieniem jest *miłość*, przedmiot jego stanowi *rodzaj*, nie *warunkowość*. —

Ernest rozśmiał się. —

Aryst uśmiechem tym zgorszył się i rzekł:

— „Możem się wytłumaczyć ciemno, wyjaśniam. Piękność *żywa*, odbicie grającej duszy, nie jest to równie jak piękność na płótnie, gładkość, blask, równość, pewna *warunkowość* umowna w rysach cielesnych; wrażenie piękne jest to uczucie *względne*, od umysłu który sędzi zależne. Dostrzeżenie w przedmiocie danym pewnej jednozgody wewnętrznej, pewnych poksztalceń, odcieni (tak w moralnych jak względach fizycznych), stwarza w nas pewien pociąg, pewien pociąg *duszny*, silniejszy. —

Dusze uczuwające miłość ku duszom drugim, są to zwykle trafniejsze oceniace tych dusz; — także właśnie, rzec chciałem, piękność obrazu, uczucie może jedynie — *znawca*. —

— „Tój duszy, co w ciele tój damy wsiada teraz do koczka, (rzekł Edwin, stojąc zawsze i z jednym uśmiechem szyderstwa), tój duszy, najwłaściwszym oceniaczem zapewne jest moja, od razu bowiem uczuła miłość. —

Ernest i Aryst stojąc, przypatrywali się ciągle portretowi.

— „Aryście! —

— „Jestem. —

— „Kiedy mię zaczniesz robić? —

— „Za dni parę, jak skończę Ernesta. —

— „Proszę cię, zrób mię s twarzą wesołą na płótnie. —

— „Zrobię cię z oczami i twarzą zwróconem ku wsiadającej damie i stojącego w oknie. —

— „Byle nie na kamieniu jak niegdyś? co chcesz za spalenie obrazu? —

— „Chcę wykładu powodów twego postępu. —

— „Edwin się zarumienił lekko, jakoby s wstydu;

lub raczej ze zmieszania jak obłąkany, kiedy w szczególności zwykłe trafniejsze oceniace tych dusz; — tak śliwych przerwach, przypomną mu jaki czyn obłąkania. —

Rzucił okno i usiadł przez chwilę na sofie; przystąpił do okna znowu, od tego uczynił krok ku drugiemu; — przez ten czas Ernest wyszedł. — Edwin przybliżając się krokiem mniej pewnym, siadł na miejscu Ernesta; patrzył przez chwilę na licotwórcę Arysta i głosem nie wesołym ani szyderskim, rzekł:

— „Maluj mię! —

Aryst oderwał namaszczone pędzel od płótna, spojrział na siedzącego, odłożył na bok robotę i siedząc patrzył.

— „Maluj mię! — powtórzył słabszym głosem, jakby nękającym Edwin.

— „Edwinie! co ci? —

— „Nic. — Proszę cię abyś mię wymalował... na kamieniu, przy oknie... wszak tak? —

— „Edwinie, twoje oczy się płaczą. —

— „Tak jest, proszę cię byś malował... wszak piękność. —

— „Twój rumieniec nie jest ze zdrowia. —

— „Piękność, rzekłeś, to miłość... nie... piękność sztuka... wszak tak?... jakże mi ciepło...

— „O Edwinie, powiedz mi prawdę? szukając *wzniesienia uczuć* przez środek rozrywki, tyś dzisiaj nadużył rozrywki, tyś *pił*?...

— „Trochę mi słabo... tak jest... albo też raczej... nie... ciepło mi; chciałem rzec: ciemno... maluj mię... o Aryście mój... słodko.

To mówiąc, Edwin zasnął.

Aryst i Edwin którzy przed jakimś czasem związali znajomość wśród miasta, stali się sobie bliższymi, i przyjaciółmi. — Aryst pragnął zbadać duszę Edwina, Edwin przywykł do towarzystwa Arysta. — Przyjaźń jest to uczucie istotne, a przynajmniej istotnym być musi, bo ma nazwisko. — Aryst te liczne chwile życia które przepędzał, które przepędzać musiał, lubo może nie żądał (jak wielu); chwile te starał się przepędzać w łącznym obcowaniu z Edwinem. — Edwin zajął go, pomimo swe wady, mimo dróg błędy... Edwin wprawdzie (ile to widział), być to mogła dusza stracona; lecz za-

wsze dusza. Zdało się iż przed jakimś czasem, jeszcze nawet czasem nie dawnym, duszy tej (mówiąc po ziemsku), było przeznaczenie odmienne, inny był stan. Dusza Edwina nie była to wcale dusza z pierwiastkowych *wątpień* powstała; — nie była to dusza tym więcej s pierwiastków wprost wiary *zmysłowej*, rzec chcemy: w uczuciach swych wprost czysto ziemską; światom wyższym bez-cielnym obca; — dusza Edwina, zdało się, była owszem niegdyś wprost z sfer nadziemskich, wprost tym sferom oddana, w nich bujająca. — Dusza Edwina wśród ziemi była to dziwna dusza, wypływ mniej odgadnionych połączeń, mniej zrozumiałych pierwiastków; to też było zrazu, jak powtarzamy, przedmiotem uwagi Arysta, dalej troskliwszego zajęcia, i wnet przyjaźni. — Kroki Edwina obecnie nie były to wcale wzory; przykłady bezbłędności i cnoty; kroki Edwina owszem, patrząc moralnie, czyniły go dziś nie narzędziem, przedmiotem wezwań jakowych wyższych, lecz straty; — a jednak wśród ciała tego na kroki te oddanego; widne jeszcze było: tło lepszych lotów; błyskał jeszcze

owszem niekiedy dawny popęd, odbicie, nawet uczucie wiar dawnych. —

Mimo bliskość i ufność pozorną; stan i los ziemski Edwina mało skąd inąd znanymi były jego przyjacielowi; Aryst nie wiedział wcale iżby Edwin jakowym zatrudnieniem obowiązkowym był oddany; nie mógł jednak nie dostrzedz pewnego dostatku około niego. — Edwin milczącym był zwykle o przeszłości, o szczegółach obecności swojej, przynajmniej ilekroć o to był zapytany; do tykał ich tylko nie raz wśród rozmów, gdy wcale zapytywanym nie był. — Aryst nie mógł nie boleć nad tą ginącą duszą, którą widział — ginąć nie mógł nie boleć nad losem dusz innych, które widział prawdopodobnym, gdy widział jeden; — lękał się nawet o własny; los Edwina zdał mu być dalszym ciągiem jego własnego losu; — tego też milszemi mu były nad inne, chwile, w których Edwin w stan zadumania wpadał, w których swą przeszłość wspominał, duszę swą bardzo przyrozoną, co do ubiegłych losów, w barwę bardziej prawdziwą malował; — to mu mogło się żyć przestroga. — Chwile takie były jednak nie

liczne; Edwin był odstępca istotnie kraju myślenia; — im silniejsze były te holdy które mu składał; tym dłuższą zdała się być ta uraza, którą doń zachował. — Edwin był dzisiaj tym prawie (którego malował Aryst), Ernestem; lubo tym stał się z rachunku, czem Ernest był s przyrodzenia. — Obowiązek, widomość, zmysłność, stały mu się treścią, zasadą, celem myślenia i kroków; — zasadą, powiadamy, w pewien tylko odcień (jakby rozumownawczy) ubraną. —

To, cośmy dotąd rzekli, może być jednak zbyt ciemnem. — Jedna z rozmów które miewały miejsce pomiędzy Arystem i Edwinem, lepiej by mogła zapewne stan umysłu tego odkreślić. —

Przytaczamy więc jedną, która zdarzyła się właśnie na krótko przed niejaką na pewny czas zmianą, w umyśle Edwina. —

Doba dzienna nie była ranna ani też późna. — Ogród skromny lubo otwarty wszystkim, do którego Edwin i Aryst kroki swe obrócili i weszli, był prawie próżnym; jedna z ławek pobocznych ulic ogrodu, przywabiała ich swém ustronném staniem i cieniem; na niej usiedli.

Była to właśnie jedna z chwil lepszych umysłu Edwina, miłszych Arysta. — Ten cień i ta ustrona siedzenia, były to sprawcy błoźsze. — Pamięć będąca myślą, istotą myśli, stała się czulszą w miejscu tém i dobie. — Może słowa poprzednie Arysta, może sprawy poprzednie Edwina, na stan ten równie wpłynęły. Aryst mówił o swych nadziejach przyszłych i wzruszał się; — Edwin pragnął mówić o swój przeszłości i mieszał się. — Aryst od słów o sercach i o czynach ludzkich, zwracał z wolną mowę do własnych. Edwin siedł za kierunkiem Arysta i znowu mieszał się. — Aryst mówiąc o ludziach, wspomnił o swém dzieciństwie; o sercach które kochał, jakiego kochać pragnął, jakie znał. — Aryst mówiąc to, miał uczucie w wymowie i Edwin wzruszał się; — pragnął także o przeszłości swój mówić, o rodzicach, o sercach które znał bliżej czy kochał — i błakał się.

I rozmowa ta, była równie miłą dla obu, była miłą; bo oprócz gałęzi drzewa co niekiedy lekko szelestały, śpiewu ptaków co pomiędzy drzewa latały: nie było oka ni głosu, które by było przeszkodą w téj rozmowie.

Nagle jednak głos wyraźniejszy, głos innéj treści się rozległ; Aryst i Edwin umilkli i słuch obrócili; głos był wolny, poważny, przeciągły i smutny; — prócz głosu posłyszanego postrzegli też z daleka błysk światła; był to orszak żałobny przechodzący obok ogrodu i towarzyszący wiezionej trumnie. — Głos ten mało wzruszył Arysta, Edwina więcej; Aryst widok podobny miał przed swą myślą zawsze, Edwin usuwał go. — Edwin wstał i patrzył na orszak; gdy minął uśmiechnął się i siadając napowrót rzekł:

— „Kiedym był jeszcze dzieckiem i chodził do szkół, w pokoju w którym mieszkałem umarł mój szkolny towarzysz; po wypadku tym trzy dni spać nie mogłem, bom się lękał, lękał — zmarłego. (Tu się uśmiechnął znowu). — Widok śmierci przeraża oko; — oko młodych, myśl o śmierci trwoży i miesza umysł, umysł dziecinny. — Kiedym był równém dzieckiem i chodził do szkół; pomnę jakem raz na wakacje ze szkół do domu przyjechał. — Może być zupełniejsze, więcej istotne szczęście człowieka, jak gdy dziecko opuszcza szkołę dla domu? — Widok szczęśliwości rodziców których kochamy;

Księgozbiór:

3

Ms 27-483

widok uniesienia sióstr małych, naszych przyjaciół jedynych; świat wygod, pokój bez chmurki, pokój serca i tryumf, to udział — dziecka ze szkoły. Dni życia, dniami są wtedy raj, a na czele ich stoi — dzień pierwszy; — a jednak (tu Edwin zatrzymał się i zachmurzył) a jednak... tak... jednak *myśl*, to źródło według was szczęścia; ta rzecz — wiście trucizna — nawet chwil szczęścia; pomnę jak — raz, dzień mi nawet ów pierwszy zabiła. — Ogród, a wśród ogrodu okryte czerwonymi jagody zielone krzaki, wśród śmiechu i wesołych biegań sióstr małych, dopełniły mi z razu miary dnia owego rozrywki. — Syty śmiechów, słodczy, zabawy, dla miary większej nawiedziła mnie wtedy po raz pierwszy *myśl*, i wstrzymałem się; — drżący i blady, opuściłem jagody, kwiaty, ogródek i siostry i uciekłem do pokoju mego, na łóżko. — Myśl jednak nie opuściła mnie, owszem ściagała srożej, zacząłem wołać, ucichłem, i cisnąc rękami uszy, cisnąc w poduszkę oczy, w pół martwy kryłem się w głąb posłania. Dziwna, tak, wcale dziwna była przyczyna tego przestachu mego; że przynajmniej dziecinna, to pewna, (bo byłem dzieckiem). — Przyczyna tej mo-

jej trwogi była ta myśl: że *umrę*; że *kiedys umrę*. — Ja ciało, ja głos, ja oczy, ja mogę, ja muszę mieć je *kiedys martwe* (myślałem), tak jest, rychlej lub później; — me oczy — robaków pastwa; me usta, opchane piaskiem tak leżeć będą; — me ciało, me tak żyjące dziś ciało — kawał czarnego węgla, może trącone nogą w wiatr się rozwieje; — tak jest, później lub rychlej, a to nastąpi; rościagną mnie, ubiorą mi wdzieję, zamkną wieko nade mną i przybiją je dłonią!... O, gdyby wtenczas myśl błoga przedstawiła mi była przynajmniej, że los równy czeka i wszystkich wśród których jestem... możeby... ale nie przedstawiała mi tego; — lękałem się cały dzień, wieczór, siebie i swego ciała; nazajutrz, mniej byłem trwożny, potem — minęło. —

Aryst wyrzucał, iż Edwin w ciągu rozmowy tej, myśl nazwał trucizną; znajdował, iż owa przestroga myśli nie była zgubną, znajdował tylko, iż myśl ta była za szczupłą, iż jej nie wyrobił w odcienia; — lekarstwem przeciw niej staćby się była mogła myśl inna, myśl dalsza, tak jak pierwsza, była lekarstwem przeciw oddaniu się światowi wyłącznie.

— „Uwag tych, nie czynilem wtedy, rzekł Edwin, to prawda; nie chorowałem jednak zbyt długo; wyleczyłem się, a wyleczyła mnie wkrótce — o, nie *myśl!* — wyleczyła mnie dojrzała *wiśnia*, pierwsza jeszcze postrzeżona przeze mnie w owym roku dojrzała wiśnia, która przypadkiem, gdy do ogródka wrócił, w oczy mi wpadła.“

W czasie tych słów pogrzebowy orszak od dawna już był znikł w oddaleniu i panowała cisza poprzednia; gdy nagle w témże miejscu co przedtem, dźwięk nowy a odmienny się rozległ i dała się słyszeć skoczna, wesola, czysta, dobitna, przez mijającą pozytywkę grana, mazurka nuta. —

Na dźwięk nuty téj śnać dobrze znanéj, a harmoniją ożywiającéj, Edwin wzruszył się znowu, nawet silniéj; to zamysłone, w pół dzikie, a w pół sztyderskie lice, nagle przybrało wdzięk jasny; zdało się igrać z weselem, z weselem kiedyś mu znaném, z rozrzewnieniem przypomnień, szczęścia.

— „Muzyko! w pół się wznosząc na chwilę, zawołał, raju tonów i wzruszeń, cóż to ty sprawiasz?... ten harmonijny taniec, ja znam go... O! widzę, tak widzę, stoi przede mną świat znikły, znikłe uczu-

cia, jam inny. — Jakież to słodkie, Aryście, lubo tak znane, tak już dawno słyszane tony!... widzę tłum, widzę wir skoczny, świat młody, świat ten wzruszeń, rojeń i czarów... ileż to ludzi? dziejów? świat jaki? stoją mi razem w oczach. — Aryście, ty mylnie sądzisz, ty sądzisz o mnie tak, jakem ci nie raz mówił, ja zaś — jam kłamał. — Ta nuta!... widzisz te światła?... te blaski strojów, ten salon? ha! i tę piękną parę, idącą na przodzie w tańcu?... to... mój przyjaciel! — widzisz w téj stronie tę drugą? tego młodego chłopca stojącego obok dziewczyny, s tém okiem z ognia, s tém sercem dziecka, s tą myślą w czole, z ufnością w myśli, s tą duszą, że tak wyrażę się — głupca, to jam jest; — tak; — jeszcze wtedy wierzył w świat myśli; wierzył, i był szczęśliwy uczuciem, uczuciem miłości w sercu, uczuciem przyjaźni w sercu, rojeniem; wieniec z mirtu był mi wtedy przed okiem; różeczka szczęścia, pokoju, patrzyła mi z oczu przyjaciela; promień jasny, s przyszłości dni mych wystrzelał...“ tu Edwin wstrzymał się i dalej rzekł obojętnie:

— „W miesiąc myślałem inaczej; przedmiot hoł-

dów mych rzeczywiście był wkrótce z mirtem na skroni, lecz obok niego przed ołtarzem stał ten— z ócz którego patrzyła mi różyczka pokoju, szczęścia!... zysk promieni nie był już celem mych kroków, mych żądań;— świat znikły stał mi się celem wstrętu; wspomnienia— katem... A jednak... a jednak tak... ten dźwięk błogich tonów przeniósł mię, nie w te uczucia ostatnie... Aryście! czyliż mam wyznać prawdę?... jam nie nie zyskał;— to rzeczenie się myśli i rojeń, ta wiara jedynie w ciało, ta zima, o! to nie rokosz, życie— to śmierć.— O tak, i dla mnie był czas niegdyś odmienny... był czas... kiedy widok zmarłego ciała we mnie obudzał— *przestrach*; żywego— *miłość*... Aryście! czyliż ów czas był lepszy?... nie sądzę abym miał być lepszym; (tu powstał i ze zwykłym szyderstwem z zarumienieniem Edwin dodał) „ów czas obcej woli, katowań, szarpania, holdowań, głupstwa, nie lepszy był;— wierz mi Aryście.— Chodź już... ja śpieszę na tańce... nie do owego steku świateł i strojów, nie na salony złociste, o nie! nie do węzłów, katowni, szarpania;— i dziś jednak moją rozrywką— serce; celem holdowań— serce; środkiem zholdowań—

nie serce, nie loty myśli, nie mądrość— o nie!... dziś środek mój skuteczniejszy i zawsze;— nie w sercu, ale na sercu“— to mówiąc uderzył około serca i dał się słyszeć dźwięk złota.— Aryście! dobrze żem spomniał; ja idę;... tu tylko, na tym rogu: butelka... i wkrótce idę... nie chcesz?... idę więc jeden... bądź zdrów“— Edwin istotnie posiedział półchwili i wkrótce poszedł. Aryst nie poszedł za nim lecz go i nie zatrzymywał; wiedział już, iżby zatrzymywał napróżno. Lubo niekiedy lepsze, zbyt częściej jednak, jak to rzekliśmy, spotykały złe chwile Edwina, za którymi szedł ślepo, upornie, nawet z uszczerbkiem sławy.— Aryst nawet począł wyrzucać sobie, że czuł przyjaźń, miał związki z Edwinem;— były chwile w których nawet trwożył się owszem, iż z nim zostawał jeden. Granice odstępstwa Edwina od kraju myśli, od zasad, mimo bliskość, ciemne mu były.— Raz gdy nie dzielił zdania Edwina co do rozrzutności i spytał go: co uczynić gdy zbytek ostatniego grosza pozabawi? „*Wziąć*“ odpowiedział Edwin spokojnie i s półśmiechem.— „A gdyby życie czyje, pytał go inną razą, swobodzie twoich postępów było

zawadą, cóżbyś miał począć? „wziąć” odpowiedział podobnie i uśmiechnął się, nie dziko, lecz słodko.—, Aryst nie wierzył (i być może miał w tém zasadę) w zgodność czynów, z zasadami mowy Edwina.— Główny powód którym uniewinniał swą przyjaźń był ten: iż miał nadzieję, sprawienia w nim zmiany moralnej.

II.

Upłynął rok cały przyjaźni pomiędzy Arystem i Edwinem, przyjaźni o jakiej rzekliśmy.— Nadzieję dostrzeżenia zmiany w duszy Edwina Aryst stracił.— Szedł on baczenie za drogą, za każdym odcieniem téj duszy i z uczucia przyjaźni, z uczucia ludzkości, martwił się.— Nagle jednak promień nadziei z mniej spodziewanym blaskiem mu wrócił.—

Od dni kilku: dziki, szyderski, a nawet, rzec to wypada, wyuzdany niekiedy Edwin, był mu częstszym gościem niż zwykle;— przychodząc miał

uśmiech na licu, uśmiech dziecinny; — mówił długo, mówił żartując i szczerze; — przedmioty wagi istotnej miał za drobniejsze niż kiedy, o rzeczach drobnych mówił jakby o wielkich; śpiewał i nucił; raz przypomniał i nawet powtórzył — kawał ballady; od dni kilku lub więcej, wstrzemięzliwszym był w napoju i jadłe, cery był świeższy, do podejrzanych zabaw nie uczęszczał.

— „Edwinie! nie chciaj zaprzec a wyznaj mi, w tobie jest zmiana?”

— „Tak jest.”

— „Myślisz inną, a myśl ta skutkiem jest serca; ty kochasz...?”

— „Nie. — jednak...”

— „Cóż... jednak...?”

— „Myślę się — zenić...”

— „Tu?”

— „Tu; — tak bym sądził że tu; — sam wreszcie rozsądz.”

— „Skądże ci zamiar?”

— „Z nudy. — Moje zdrowie i moje złoto giną Aryście; i w końcu przypomnieć to muszę; — życie. — Chciałbym poznać i związek małżeński przed koń-

cem życia; — ja nie skarzę na związek *matrzeński*; na związek co nam zaręcza *pewność, wyłączność*.? —

— „I nas jednak przykuwa wyłącznie; wybór silnie rozważać musimy.”

— „Sam rozważ.”

— „Dni temu kilka... lub raczej... tak jest, dni kilka; słońce już było znikło; — jam przechodził miasto aby — przechodzić; — zmęczenie zawołało mnie o spoczynek; i jam go szukał. — Byłem w stronie miasta mniej znanj; pierwszy w przezroczu gorejący napis zwabił mnie swoim brzmieniem i wszedłem. — Gościnne miejsce do którego wszedłem, nie miało tłumu zebrania; pewna świeżość pokryć i szczupłość gości dowodziła, iż zakład był nowszy. — Prosiłem o gorący napój, jaki? nie pomnę; był li to, mówiąc jasno: wino, poncz, herbata, kawa, grok, o co, nie pomnę? czyli to; — co otrzymał dobre było albo mniej dobre nie opiszę, opiszę ci jednak, jeśli pragniesz, jaką była ta którą tu ujrzał, raz pierwszy, co tak zwinnie rządziła — daniem, sama roznosiła te dania — *kawiarka*. — Kawiarka była postaci ładnej; z ciemnym włosiem, z niebieskim okiem dziewczynka. — Ubiór jej... chciałbym opi-

sać ci ubiór, ale — nie umiem;... ten fartuszek, chusteczka, te włoski, tak, nade wszystko — te włoski... Aryście, tybys się zbłąkał. —

— „Ludwiniu“ wołał gość jeden, „daj cukru!“ —

— „Ludwiniu, wołał gość drugi, fajki i ognia!“ —

— „Ludwiniu, kawy!“ —

Co chwila ktoś wołał Ludwiniu; jam chciał także o coś zawołać, ale nie wyszedł mi głos; Ludwinia jak czarodziejka odurzyła mię; nie mogłem wymówić: *Ludwiniu*.

Z napojem w rękę wsunęłem się w kąć ciemniejszy pokoju, w głęb krzesła; napój mój postawiłem i wziąłem w rękę gazetę; rzekłbyś, patrząc, żem czytał gazetę. —

Ludwinia uwijała się w koło z lekkością strzały, uśmiechała się na około z jasnością gwiazdy (żywą a zimną), uśmiechała się i wyrывała uśmiech wzajemny, spojrzeniem — wróżki. — Wkrótce jednak pokoje stały się puste i Ludwinia jedną została. —

Pewna powściągliwość Ludwini, którąm w niej dostrzegł przy przyjmowaniu grzeczności, kazała mi zrobić domysł, czyli to bytność w sercu jej pewnych

zasad, czyli też może, co rychlęj, jakowegoś — uczucia stróża; — ten mój ostatni domysł nie omylił mię; wkrótce się sprawdził. — Od chwili rozejścia się gości, Ludwinia zamiast zostać na miejscu, to wracała, to się znowu przybliżała do drzwi, do drzwi szklanych, a na ulicę wiodących, jakoby oczekując na kogoś; wnet też drzwi głośnie otworcie, uśmiech i rumieniec Ludwini, wskazały na spełnienie tego oczekiwania. Osoba która weszła, była to postać męzka, w pół stara, w zaniebanym wytartym stroju, rysów nierównych, ostrych, lica zeszpeconego trunkiem, skroszczeniem; nosa barwy czerwonej pół twarzy zajmującego. — Patrząc na to niemiłe, to wstrętne lice, na tę w niekształtnych ruchach posuwającą się postać, rzekłbyś, iż gość piekielny w godzinę śmierci po uciekającą duszę przychodzi.

Zimna jednak, niemowna i w pół dotąd surowa Ludwinia, na widok twarzy tej czulszy i poufalszy uczyniła uśmiech. — Ciepły napój pijący i skryty jam spoglądał s kąta pokoju; para oddana sobie nie widziała, czyli też nie dbała o świadka. — Aryście!

Czyliś ty kiedy widział kobietę — Włoszkę?...

Nie lubię, tak, żadnych nie lubię uwag i dawno nie czynił już żadnej, dziś jednak uczynię tu jedną. — Kobiety wzdłuż i wszerz ziemi (ilem je poznał), jedne są i mają uczucia wspólne, mają przecie i pewne odcienia tych uczuć. — Weźmy np. jedno: — upodobanie w płci drugiej, — kobiety kraju każdego wszystkie mają upodobanie w płci drugiej, więc — grzeczność; są jednak zbyt różne odcienia tej grzeczności. Weźmy np. kraj o którym wspomniałem — *włoski*, kraj nam sąsiedni — *Niemiec*, i — nasz. Każdy np. w tych krajach pierwszy wchodzący *gość* (jeżeli miejsce objawienia się myśli byłoby podobne temu o którym mówimy — *otwart-sze*), jest przedmiotem równie uprzedzeń jak star-
rań. Ale źródłem grzeczności kobiety Włoszki jest wprost *zalotność*, kobiety Niemki — *gościnność*, kobiety Polki: — *widok*.

Ten brzydki i natrętny mężczyzna co tu przycho-
dzi, jest to zapewne nader brzydki i natrętny mę-
czyzna, zawsze jednak jest to — mężczyzna, myśli
kobieta Włoszka.

Ten nieznosny, natrętny gość co się w tyle zalot-

tów wdaje, jest to zapewne zbyt wstrętny i zbyt
nieznosny gość, zawsze jednak jest to — gość, myśli
kobieta Niemka. —

Ten Pan co tu do nas przychodzi, ten brzydki,
nieznosny Pan, ponieważ tu do nas, nie zaś gdzie-
indziej przychodzi, ma zapewne nie nader zamożną
kieszeń, zawsze jednak ma — kieszeń; — myśli ko-
bieta Polka; i jest mu grzeczną. —

Owoż Ludwinia o której rzekłem, jest to kobieta
Polka, Aryście, i uśmiechała się do brzydkiego Pa-
na, który istotnie, jak to wniesć wypadało, może
nawet i niezamożną miał kieszeń.

— „Ludwiniu!” rzekł Pan z wykrzywieniem warg,
(co miało oznaczać uśmiech), a dokończywszy szklan-
kę, „wiele za szklankę?”

— „Złoty.” —

— „A za to żeś mi przyniosła?” —

— „Nie Panie.” —

— „A za to że s tobą mówię?” —

— „Nie.” —

— „Ludwiniu! co chesz za rękę że ci ją poca-
łuje?” —

— „Idźże Pan.” —

Pan przystąpił bliżej i był natretnym.

— „Idźże Pan!” — Ludwinia odepchnęła mocno starego Pana, i uśmiechnęła się. —

— „Ludwiniu, co chcesz za rękę?” —

— „Precz.” —

— „Co chcesz za swój jeden włoszek z warkocza?” —

— „Idźże Pan.” —

— „Za oczko?” —

— „Proszę Pana stąd wyjść i dać mi pokój.” —

— „Ludwiniu! co chcesz za uściśnienie twych ustek? za jedno?...”

Stary Pan mówiąc to przybliżał rękę ku sercu, ku sercu swemu; — Ludwinia spojrzała, ujrzała wkrótce w tym ręku, — starą, wytartą — sakiewkę, przez którą jednak tym świetniej przebijały się liczne sztuczki jasnego złota; — i uśmiechnęła się znowu. —

— „Za każde uściśnienie twych ustek masz jedną z tych sztuczek, — Ludwiniu, rzekł stary Pan. —

Uśmiech Ludwini, był to uśmiech szczęścia; nie opuściła z razu miejsca na którym stała; przybliżyła się jednak wkrótce i spoglądając s całą siłą ujęcia na zeszpeconą twarz starego Pana; rzekła przez połowę z uśmiechem: — Całuj Pan. —

Karty pisma com trzymał w ręku — zgmiotłem; chustkę co mi skrywała szyję — zdarłem; lubo zdało mi się że siedział i patrzył spokojnie; — i — nic; patrzyłem.

Stary Pan utrzymując w trzęsących się dłoniach białe lice Ludwini, razy pocałunków pomnażał; — s czyjej strony w tym ciągu rokosz była rzeczywistsza i trwalsza? nie wiem. Roskosz Pana zwiększała się za każdym z tych razów uśmiechem Ludwini; rokosz Ludwini myślą o zapewnionej uśmiechem tym nową sztuczkę błyszczącą.

Czas jednak minął, Pan wyszedł; do dumnej posiadanej złota Ludwini mogłem przystąpić. — Postać Ludwini (jak innym) odpowiadała mi ujęciem, grzecznością. — Chciałem rzecz... przynajmniej słów parę... i — nie umiałem nic rzec; odważyłem się w końcu na jedno, i —

— „I?” —

— „i pożegnałem. —

— „Nazajutrz... odwiedziłem ją znowu; odwiedziłem ją na dzień drugi, na trzeci; ha! tak! odtąd bywałem tam co dnia — poznałem bliżej. —

Edwin zamyślił się. —

— „I toż jest przedmiot twego zamyślenia? rzekł Aryst, nie przerywający wprzód zapytaniem tem ciagu powieści.—

— „Edwin pomyślił chwilę, potem spojrział jakby z goryczą na zapytującego Arysta, i odpowiadając mu na uczynione pytanie rzekł:—

— „O nie!... Widzisz ten list?—

Edwin dostał s kieszeni list; rozwinął go, patrzył i odczytywał; obracał go na okolo i odczytywał przypiski.

— „Aryście!

— „Cóż?

— „Widzisz ten list?

— „Widzę; przeczytaj.

— „Cóż stąd? kiedy go nie zrozumiesz.—

Edwin był myśli w pół gorzkiej, w pół ironicznej, pół zamyślony.

— „To jednak dziwna!— istotnie... cha! cha! żeby czuć tyle?... Czy ty ją znałeś?

— „Kogo?

— „Amelkę.

— „Któż to?—

— „W oczach czarnych, rzekł Edwin po chwili, mówią że mieszka żywość, w oczach niebieskich— czułość; lecz w oczach siwych— stałość; Aryście! gdybyś ją widział!... ona ma oczy siwe.— To nie noc ani niebo w spojrzeniu; to— mgła wieczorna; jój lice; — to nie róża, ni jodła, to— lilija; postać jój czuła i szczupła, może zbyt słaniająca się; rzekłbyś— aniołek któremu skrzydła odcięto;— włos złoty, zbyt nawet złoty, ona cierpiała mocno nad tą barwą włosa, czoło jój, to jój dobroć mówiąca, jój wzrok, jój lica, jój usta, to zamyślenie. Jój głos, to jój dusza wpółziemska.— Aryście! gdybyś ty słyszał jój głos... jój głos w mowie, głos w śpiewie,— gdy zagra, gdybyś harmoniją... harmoniją tonów tych słyszał.— To czarnoksięsko! Nie wymienisz talentu któryby był jój obcy, cnoty którejby wyrażeniem nie była.— Skąd ty jesteś istoto!— śród ziemi— tak małoziemska! co za kraj był tobie kolebką; winien być twoim pobyt—tem? takem nie raz pytał sam siebie gdym na nią patrzył;— mianowicie, kiedym w mgle oczu jój postrzegł był gwiazdę, pierwszą gwiazdę na tle tego wieczora... i kiedy...

—Kiedy?...

—Zamieniano nasze obrączki.

—Obrączki!

—Tak; w dniu zaręczyn mych zwłaszcza, istota ta była mi szczególniejszą zagadką; była mym obrazem bez przerwy, przedmiotem biegów mój myśli, przedmiotem mego podziwu, wielbienia, hołdu; — jaka szkoda, tak rzeczywiście (dodał surowo i wspierając czoło na rękę), jaka szkoda że nie miłości.

Dzień ślubu byłznaczony bliski — kres był tylko tygodni dziewięć. Ż jakąż męką oczekiwałem kresu tych tygodni! każdy ubiegły tydzień zdał mi się być miesiącem, półrokiem. Czas jednak idzie, nie daje się ani przyspieszyć ani wstrzymać, i nadeszło — owe *półrocze* dziewiąte, i — przeszło.

—I twój ślub w dniu naznaczonym się odbył? rzekł Aryst wpatrując się z zastanowieniem w Edwina.

—Nie. W pół biegu dziewiątego półrocza — jam... zemknął.

—Zemknął?

—Tak, — Ślub; to nie taniec, Aryście, nie kończy

się z ominieniem kolei, z zmiłknieniem choru, ślub to nie most swobody, swobody słów myśli i czynów; ślub Aryście, to więzy, w które się podać pragniesz, które na siebie sam kładziesz, które nieść musisz, i przysięgasz, że je nieść będziesz do śmierci. — O! ileż to celów, spraw, myśli wzrastających, bieżących, lecących, kwiatem już i owocem błyszczących, zabił swym losem — ślub. Ileż to serc nie rozszarpał? uczuć nie wymordował, ten ślub, ojciec — nie tańca, więzy!...

—Do więzów tych jednak sam dzisiaj wdychasz? sam ich dziś szukasz???

—Dziś?... tak jest;... dziś. — O dziś!... o moje ty dzisiaj! jakżeś ty różna!... jak odmienny dziś dla mnie blask wschodzącego słońca, blask tej samotnej gwiazdy co tak blado oświeca cień nocny, — i sam cień nocny!... jak odmiennym dziś dla mnie jest widok kwiatów, błysk pola, błysk łąk zielonych, po których... po których... bawiłem się niegdyś dziecko — z sercem nadziei. — Aryście!... jam był wreszcie zapragnął, i jam to zdziałał; jam zawołał — o zimę; z resztek czułości się odarł, i — nie znam nieszczęść. Śmierć znajomych, śmierć

krwanych, śmierć twoja; o! i tém więcej — myśl o nich, są mi tylko przedmiotem zabawki; tak jest — sztyderstwa. — A jednak... mamże ci jednak wyznać?... jam wczoraj — płakał. — Wczoraj około jednego z domów gdy wracał z wolna, ujrzałem przez drzwi otwarte, drzwi przejścia: kwiaty i drzewa; miejsce było publiczne i wszedłem; ujrzałem się w ogrodzeniu czarowném śród kwater klombów i kwiatów, obok altany; straciłem pamięć gdzie jestem i wsparłem się o drzewo altany; czuła woń goździków, rezedy, lewkonii, objęła mnie, upoiła; i — jam zapłakał. O! ta woń, i ten widok, w inny czas jakiś mnie przeniósł, w inną dni, czucia, stan serca. — Myśl i uczucia moje, były to niegdyś uczucia pokoju i niewinności, uczucia prawdy i wiary... mar i nadziei... o! tak — na dziei.

— Czyżes już umarł?

— Ja? — nie, — ale moja nadzieja. Nadzieja moja zamieniła się dziś — w moję obecność, zgmiotłem myśli o dniach następnych, nie obracam pamięci ku znikłym... ty gubisz mię... Póki mi zdrowie, żyć mogę; w godzinie szarpań lub nudy — rozrywam

się. — Z pierwszą miłą istotą która mię spotka, pierwszym słodszy napojem który postrzegam, rozrywam się — dziś stan uczuć, stan myśli mój nowy; według was: jam dziś zły, głupi, niewarty, — dziś już, tak, jużem ci to powiedział, dziś już ożenie się. Słowa te domawiając Edwin, wrócił do zwykłej swój zimy, do jakowejś stratnej rozwagi, wstał i list schował.

— „Z kimże?”

— „Z Ludwiną.”

— „A list?”

— „W tym liście piszą mi o Amelce; chora i niebezpiecznie.”

— „Czyliż nie lepszy wybór téj, którejś już przyrzekł?”

— „Za-czuła. — Jeśli się z nią nie ożenie, być może, iż jak to widzisz, umrze; lecz jeśli się z nią ożenie — umrzemy razem. — Jeżeli nie miłością, ona mię zabije zazdrością, i zniknie od niej. — Ludwinia, ta mnie nie kocha i będzie wierną. Ludwinia, jeśli co kocha, to — złoto; serca których treścią jest złoto, bezpieczniejsze są, wierz mi, od serc, których treścią czułość. Wrazie przyjazdu miasta milego przyjaciela domu, któryby dla prze-

żywienia siebie na wieś do nas zawitał; nie Ludwina, ale Amelka, wierz mi, wpadłaby po odjeździe jego — w *suchoty*. — Mój wybór stał się.

Aryst usiłował odciągnąć tego, którego przyjaciелеm swym mienił, od kroku, który mniej właściwym być sądził. — Aryst cieszył się wprowadzeniem zmiany jaką był dostrzegł w umyśle Edwina, nie radował go jednak sam zamiar. Zamiar ten poczytywał za marę w pólobląkaniu powstałą, jeszcze się rozproszyć mogącą, i pragnął być sprawcą tego rozproszenia. — Aryst mówił do przyjaciela słowem zwykłym, i zwracał uwagę, iż dwa zbyt różne umysły, dwa zbyt odmiennie ukształcone serca, nigdy zespolić się i do jednego kierunku zwrócić nie dadzą; — „robisz wybór, powiedział, wybór którego nie cofniesz, który jest jeden; — ta, której wybór ten robisz, ma ci nie tylko być żoną, lecz — towarzyszką; towarzyszką chwały długich, różnych; zostać ma głową domu, który zdobyć winna; matką dzieci, które ma wychować.“

Tak mówił Aryst; inni znajomi Edwina przeciwnie stawiali mu ten jego zamiar z innych stron wizerowania towarzyskiego; niski i podejrzaną barwę

stan jego wybranej; skutki stąd mniej miłe jeśli nie jemu, tedy dla jego krewnych, rodziny.

Edwin śmiał się.

— „Ten *Klit*, mówił raz do Arysta, ten *Klit* *czciobierby* a głupi, w oślepieniu od alabastrów i złota, trzymając garść białych włosów jednej z wysokich piękności, drugą za własne się trzymał, gdy m o mym zamiarze przypadkiem w rozmowie wspominał. Byliśmy wkrótce w sporze, *Klit* się uspokoił i rozśmiał, ale w tém — zadziął. — Czoło, oczy i myśl *Klita* wyprężyły się; — nie pamiętał gdzie jest i co mówi, a tylko patrzył; byliśmy na ulicy przy bramie; paradny powóz powolnie do niego się zbliżał.

— „Pani Baronowa A. X...“ rzekł wreszcie *Klit*, przez pół żywy... Powóz zatrzymał się. — Pani Baronowa A. X... ukazała się w otworzonych drzwiczkach. *Klit* s tysiącem scen dziwnych na ustach i licu, dopomógł wysiąść Pani Baronowej. Nie spojrział już więcej na mnie ani pożegnał; miał zaszczyt podać swą rękę Pani Baronowej i poprowadzić ją na schody.

Jam milczał, powstał chwilę i za nim patrzył.

— „O moja Ludwiniu, rzekłem, czemu ty jesteś przy tej wielkiej Pani?... istotnie jednak: czemu jest lice; to stare i wstrętne lice, blaskiem piór i kamieni młodzone, przy twojem, Ludwiniu?... Klicie mój!... jakżeśmy inni w spojrzeniach. —

I wróciłem znowu do Ludwini, do Ludwini, któram już był pożegnał dnia tego; — tak jest, wróciłem; abym ją raz jeszcze pożegnał. —

Te były odpowiedzi czynione na zarzuty przeciw zamiarowi jego, przez Edwina; jego przedsięwzięcie pojęcia za żonę Ludwini, było, powtarzamy to, stałe, niektóre szczegóły tylko, być może iż urządzenie domu, spraw pewnych, przewlokło skutek tego przedsięwzięcia. —

Liczne jednak przedsiębrane były kroki, liczne starania, dla odwrócenia go od skutku; nie możemy przytaczać tu wszystkich i z wszelkich celów wspomnimy jednak o jednym; — o jednym, który mu sprawił jeden z jego przyjaciół — Wacław. —

Przyjaciół Edwina Wacław, w czynności swej był też razem, być może, przyjacielem — i siebie. — Wacław dawno usiłowanie już czynił wyrwania Edwina z towarzyskiego koła, w którym

istniał, przeniesienia go w inne. Czyli to jednak pewne nieznanie życia towarzyskiego, czy jakowaś uraza dawna do tegoż, Edwin zwykle z rodzajem wstrętu opierał się naleganiu. — Wieść dopiero o nowym zamiarze Edwina, przyspieszyła czynność Wacława i pewien skutek, o którym tu krótko rzec chcemy.

Dom rodziców Wacława był to zapewne jeden z porządniejszych, a przynajmniej (chcieliśmy rzec), z wystawniejszych domów miasta, o którym mówimy. — Ojciec jego, były wojskowy, wysłużył lata w stopniu generała; należny żołd pobierany ile pozwalal mu przed tem, na wychowanie więcej staranne, odzianie w pewne talenta dzieci; tak obecnie (przy ubocznych zwłaszcza obrotach), wystarczał do utrzymania domu, w pewnym okazalszym zewnątrz. Zabrane w ciągu żywota związki, utrzymywały go i utrzymywały prawie wyłącznie w stosunkach ze światowo-naczelnym kołem tego miasta. — Dochód jednakże roczny Jenerała (obecnie emerytalna pensja), był dożywotnim, i myśl o przyszłym losie do wygod przywykłych dzieci, była mu nie raz, (była mu nawet podobno, owszem nieodstępnie),

Katalogizacja: D.

Ms. 853 489

pewnego niepokoju przedmiotem.— PP. Jeneralstwo B. mieli trzech synów i córkę.— Dwaj synowie, w urzędach cywilnych, dzięki usiłowaniom rodziców a znajomościom, już niejako osobistego losu zapewnienie posiadali, najmłodszy Wacław, na téjże równie był drodze. Głównym wszakże przedmiotem trosk domu (zwłaszcza trosk rodzicielskich), była córka.— Panna *Róża B.* (Jeneralówna), była wprawdzie nie z imienia tylko, kwiatowi którego, nosiła imię, podobną; przymiot ten przecież nie zupełnie szczęściu jój wystarczającym się okazywał; nawykła do blasku, strojów, do życia we wzniosłym kole, w kole tém przecież żadnego oka patrzącego na same wprost wdzięki nie spotykała. Panna Jeneralówna B. zbyt często utyskiwała na zupełne zepsucie s téj strony serc i oczu męskich *w tych czasach*. Panna Jeneralówna B. utyskiwała zapewne słusznie; lubo nie zważała podobno, na niejaki, że tak rzec można, brak prawa równego utyskiwania; i nie wspominała na owe słowa zamienione swą prawdą w przysłowie ludów: „jako kto miarką...” Panna Jeneralówna s téj strony była nawet o wiele podobno godniejszą pewnego wy-

rzutu; jeśli bowiem rodzice jój znając lepij stan swój obecny, jój przyszły, wyglądali pewnego tylko *zapewnienia* losu córki na przyszłość; Panna Róża widząc to zapewnienie ze strony rodziców, nie przedstawiała wcale na myśli samego zapewnienia. Panna Jeneralówna B. była s téj strony żądań, że się tak musimy wyrazić, w pół-mieszczką, a w pół-wieśniaczką. Jakby kolwiek się bowiem rzecz miała co do Panny Jeneralówny, usposobienie żądań jój jakichbykolwiek kombinacyj mogło być skutkiem, żądania i widzenia s téj strony mieszkańek miasta i mieszkańek wioski, o wiele, ile wiadomo, są różne.— Położenie młodego mieszkańca miasta zamierzającego stan zmienić, jest s pewnej strony szczęśliwszym, od mającego cel równy mieszkańca wioski.— Brzegi rzek, łąki wiejskie, słuchające wezwań i zwierzeń miłosnych, niechaj będą przekłete przekłeciem kochanków!... wśród wiosek i miastek w półwiejskich: jeśliś młody i jeśliś upatrzył wreszcie i znalazł skarb gdzie wśród domu, którybyś nazwać chciał swoim, rychlój stokroć upadniesz, niż celu któryś zamierzył dopniesz;— twój ulubiony skarb będzie się co dnia przyglądał twym

oczom, twym licom, twym włosom; matka skarbu będzie szukać zalet w twój myśli, brat skarbu będzie liczył twoje zaszczyty; ojciec twe złoto; — nader różne są oczy miasta; tu technie wszystko jedno-duchem i jedno-zgodą; — brat, matka, ojciec i córka, wszyscy zgodnie na jeden tylko z wymienionych przymiotów tu patrzą, — jednego pragną, — złota. — Młode córki wielkiego miasta nauczone doświadczeniem poranném, jedynym celem (utrwalenia losu) zajęte, nader trafnie za główny w spotykanych przedmiotach przymiot, za stopień ich rzeczywistej wartości uznają zwane tak — *utrzymanie*. — Córka rzetelna miasta, nie patrzy wcale ani na wdzięki twarzy, ani na rodzaj myśli, ani *nawet* (podkreślamy tu wyraz *nawet*, dla zwrócenia na to doświadczenie uwagi miastek), ani nawet na strojność ubioru, ale na — *utrzymanie*, jakiego kto w stanie udzielić. Młode panny służebne, w mieście osiedleń licznych, drżą patrząc na *czeladników* majstrowskich; cóż dopiero, gdy który z nich pod własną firmę przechodzi! Córki majstrów, wdzięczą się bojaźliwie do młodych dziedziców handlu; cóż dopiero do właścicieli starych! — Piękne córki handlarzy, za przed-

miot myśli, mają prawo mieć już naczelne marzenia. — Pięknych córek handlarzy przedmiotem myśli, może być ów uczestnik niedojrzanych stopni wielkości, ów ideał doskonałości wśród miasta — *Urzędnik*. Córki *urzędnika* wśród miasta (jeśli ma córki), przed uśmiechnieniem miłszém, dopytują się o ilość płacy swych *pretendentów*. — Córki salonów wysokich, jakkolwiek wśród miasta, nie są już czystym typem świata wielko-miejskiego; w pół-wychowanki miasta, w pół-wioski, mieszają ideje miasta i ideje wioski; — wierzące w niezmiennność wygod rodzicielskiego domu, w bytność ich w każdym miejscu i stanie, wyglądają raczej — imienia. — Panna Jeneralówna B. nie była wprawdzie wychowanką wioski, zarwała jednak niektórych idei koła pośród którego żyła.

Taki był skład moralny domu PP. Jeneralostwa B. Krótki ustęp ten, sądziliśmy być koniecznym, dla odkreślenia chwili uczucia i chwili wrażenia, głównego bohatera powieści.

Dwa złociste salony jaśniejące połyskiem mebli, odświeżoném zwierciadłem posadzki, ubranie okien i zawieszonych od sufitu szkieł, były miej-

scem zebrania i (po obiedzie porannym), bawienia kilku czy kilkunastu osób w domu PP. Jeneraństwa B. w dzień imienin najmłodszego z ich synów Wacława. — Był to czas właśnie (mówiąc o przedmiocie powieści) w którym Wacław najdalej zdołał uczynić był postęp w niejakić zmianie Edwina, czas, w którym Edwin zbliżał się już do oznaczonego dnia zmiany losu swójego, i zawahał się. Edwin dał się nakłonić na prośby Wacława, i w ów dzień jego imienin (dzień który się miał zakończyć ogólnym kursem zamiejskim w domu Wacława, którego rozmaitość przeto czyniła odwiedzenie znośniejszém), powinszować mu w domu rodziców. PP. Jeneraństwo B. najlepiej byli uprzedzeni na stronę Edwina. Edwin jakkolwiek niedawny a bezczynny miasta mieszkaniec, miał jednak — własne konie i pojazd (!).

— „Kiedy też już się wreszcie pokaże?“ — rzekły siedzące przy oknie dwie córki urzędników wysokich w salonie, o którym rzekliśmy.

— „Kto?“ spytał niespokojnie siedzący obok kawaler.

— „Nikt.“

— „Tego nikogo którego panie czekają, sądzę, że zgadnę łatwo.“

— „Na przykład?“

— „Solenizanta“. —

Młode osoby spojrzały się, i uśmiechnęły do siebie, i odpowiedziały s twierdzeniem:

— Solenizanta.

Po słowach tych w kilka minut, przed dom PP. Jenerała B. zajechał ładny i lśniący powóz (kabryjolecik) i przywiózł pana swego Edwina i mającego przedstawić go Wacława.

Przewrót uczuć w czasie przyjazdu, sprawił niejakić zmianę, w zwykłe jednych myślach Edwina. Spokojny nic nie myślący do chwili przyjazdu pod dom, skoro ujrzał ten dom, dom do którego wejść musiał, w połowie zmieszał się. Te wzniosłe szerokie schody ozdobne w poręcze strojne, wysłane suknem, drzwi szklane pierwszego piętra, które miał przebyć, przypominały mu jakiś czas inny, różniący wewnętrzną tych czasów; przejęły nieśmiałością pewną i trwogą; w połowie schodów

chciał powstrzymać Wacława i cofnąć się; ale już było—późno; i weszli.

Jeśli przecież przybliżony widok salonu przejął wstępującego Edwina rodzajem trwogi, ujrzenie jego wnętrza, znalezienie się wśród zebrania, zdało się wrócić mu siły.— Na ten widok czystości blasku i strojnych piękności, Edwin przypominając sobie w tej chwili iż inaczej patrzy od ludzi, zarumienił się i zawstydził by się zapewne (lubo może niesłusznie) uczynionego wspomnienia o Ludwiku, zawstydziłby się—gdyby je był uczynił.— Ubił Edwina, lubo bez wyszukania, był świeży, sposób wejścia i ukłon który uczynił, wydało pewną wprawę światową; Wacław po przedstawieniu gości rodzicom i siostrze, wskazał mu jedno wolne miejsce przy siostrze.

Panna Jenerałówna B. zdaje się, iż była już uprzedzoną, o mającém nastąpić przedstawieniu Edwina, zdaje się nawet, iż się domyślać mogła celu przedstawienia, zajęta bowiem rozmową z Panem A. hr. C. o szczegółach zabaw niedawnych nie wyglądała wcale nowego przybycia. Panna Jenerałówna B. przywykła na osoby spoglądać we

dużo skali spoglądania na nie w salonie, wcale nie miała na myśli powozów P. Edwina, tym więcędy samego P. Edwina.— Gdyby to przedstawienie pierwsze, brat młody, urządził był przynajmniej mnięj głośnie.

Edwin wchodząc z Wacławem, spotkał był ze stron kilku szczerość przyjęcia i tęp przyjęciem śmielszy, usiadł na miejscu wskazaném. Miejsce to wskazane mu było przy fortepianie, przy którym siedziała na krześle Panna Róża B. za której krzesłem stał P. hr. C.

Ożywiony przyjęciem, oraz widokiem jaki miał przed sobą, Edwin pierwszy przerwał chwilę milczenia i usiadając na wskazaném mu miejscu, rzekł: —Ten głos którym Pani włada, głos muzyki, jest to zapewne jeden z pierwszych głosów na świecie; głos to i język spólny wszystkim ludom, uczuciom. Nie mogę wiedzieć jaki rodzaj muzyki był teraz jej władania przedmiotem?“

Czyli to Panna Róża B. zajęta rozmową inną, nie słyszała tego zapytania Edwina; czy obrażona jaką nagłością w zapytaniu, udała iż nie dosłyszy; nie odpowiedziała nic jednak i obracając się z pół-

uśmiechem do P. A. hr. C. coś mu odpowiadała na dawne, czy też nowe zapytanie zadała. Edwin uczuł zmieszanie i zarumienił się. Wacław zmieszanie to postrzegł i przybliżył się; — wkrótce Panna B. jedną ręką dotykając tonów fortepianu i siedząc niedbale wśród krzesła, zapytała o coś P. Edwina; — rozmowa w pół-ożywiła się, w ciągu jej jednak Panna Róża B. tylko do P. hr. C. ja przedtem, pytania swe i spojrzenia obracała.

Edwin starał się schwytać zręczność, i schwytał ją: aby powstać, i ku innej stronie pokoju o tej, która mu naznaczoną była, przybliżyć się.

Dwie młode osoby siedzące przy oknie o których rychło rzekliśmy, nie zważały przez ten czas wcale na to, co było z osobą Edwina, lecz patrzyły na jego — *kabryjolecik*. — To oglądały starannie wszystkie drobne szczegóły samego pojazdu, to spoglądały na ubranie tego który powoził, to na iskrzący angielski ubiór wzniosłych koników, to na koniki. — Właśnie zajęte były półmyślą, półmową, o właściwościach, kiedy sam właściciel zbliżył się i stanął przed nimi. — Obie młode osoby obróciły się w półwytając, i zapłonily się — więcej, niż Edwin po nie-

otrzymaniu odpowiedzi przy fortepianie. — Edwin usiadł i pragnął próbować szczęścia w rozmowie drugiej; i tą razą szczęście to znalazł. — Tknięty przyjęciem poprzednim, ożywiony obecnym, Edwin zdał się nie być sam sobą, i że się tak wyrazimy, przeżył sam siebie, w tworzeniu myśli i słów. Rozmowa przy oknie wkrótce coraz obfitsze koło współuczestników ściągała. Nawet przy fortepianie rozmowa przerywała się i zmiłkała, czyli to dla przebrania przedmiotów, czyli też dla słuchania rozmowy przy oknie. Pan A. hr. C. zniknął nieznacznie i gdzieś pośpieszył. Panna Róża natenczas wprost przystąpiła do okna i jakby z pewnym uczuciem wyższości, biorąc jedną z osób siedzących przy oknie za rękę, usiadła przy niej. Panna Róża B. pewną wprawą w rozmowę, pewnym jakby zupełnym oddaniem się ujęciu gościa, rzeczywiście zaledwie nie stała się niebezpieczną dla gościa; pierwsze jednak utworzone uczucie, uczucie urazy a niesłusznosci, głęboko, bez wycofania, wcisnęło już było po-cisk. — Pamięć tylko na dom i Wacława sprawiły, iż gość ten (Edwin) nie szczędził pozorów i zdawał się być poświęconym wyłącznie przez całą dnia re-

szłe grzeczności i uprzedzaniom wzajemnym dla córki domu.— Wylączność ta obróciła nawet uwagę.— Młody i nie młody świat żeński przytomnie zebraniu a dniowi, udzielał już nawet sobie z uśmiechem domniemań i wniosków. Powiadamy z uśmiechem. Jest-że bowiem w każdym miejscu i czasie dla płci uznającej (przynajmniej fizycznie) swą niemożność, powabniejszy widok jak widok staran: które następstwem być musi lub wielki jej tryumf-związek; albo też większy jeszcze—odprawa.

Następstwem staran Edwina, rzeczywiście dla związku, a przyspieszony.

W dni dziesięć, po tym o którym rzekliśmy w jednym z kościołów miasta odbył się jego obrzęd ślubny—z *Ludwiną*.



III.

Przy ulicy jednego z przedmieść *Warszawy*, (tu bowiem (jak to czytelnik mógł już zgadnąć,) toczy się powieść, mającej nazwisko *Alei*, ciągnie się szereg domków, domków strojnych, cichych, w półwiejskich, przypominających *wille* południa, lub *dacz* północy. Kwiaty, drzewa, altany otaczające je w koło, miasto strojne środkiem ulicy co dnia przeciągające, oddech wiejski i gwar w półmiejski, mieszkanie letnie w tych domkach, istotnie czarownem czynią.

W miesiącu Lipcu 182... bocznym szpalerem ulicy téj szedł zamyślony i blady artysta, którego tu znamy — *Aryst* i wszedł do jednego z tych domków.

Za drugim progiem pokoju który przestąpił, spotkał go jego przyjaciel, *Edwin* i przedstawił z pewnym wyrazem, zdało się półuśmiechu, swojej małżonkę.

Aryst pierwszy raz ujrzał *Ludwinę* (*Edwin* nie wymieniał mu nigdy przedtem miejsca jej pobytu) i zdumiał się. Czyli to w wyobraźni żywszej za przesadnie sobie przedstawiał określenia *Edwina*, czyli sam *Edwin* na niejako mylniej z pewnej strony zasadzie, budował swe określenia? — Ta piękność wśród w półjasnych izdebek, za kafenhauzowym strojem ubranym w kielichy i szklanki, wśród tłumy wyłącznie mężczyzn, obłoków dymu; w pokojach asnym i strojnym, nie wydawała się wcale piękną; ruch *Ludwini* tak zręczny w fartuszkach, w opiętej na piersiach chusteczce, dziś w narzuconym szalu na szyi, mniej wprawnym, owszem za prostym wydał się *Arystowi*; pleć twarzy tak biała i lekka koło ogniska kominka, tu okazywała się

grubą i mniej miłego rumieńca; twarz ta nawet, co więcej, nie była — młodą.

Przedstawienie nowego gościa, różnaitość chwilową skutków sprawiło. *Aryst* po przedstawieniu tém, spojrzał z pewnym wyrazem znaczenia na twarz *Edwina*, *Edwin* z wyrazem pewnej obojętności, na twarz *Ludwini*; *Ludwinia* z uśmiechem tryumfu, na swe kanapę i krzesła.

Pierwsze to odwiedzenie *Arysta* było zbyt krótkie; — w pół godziny pożegnał *Edwina* i wyszedł, wyszedł z pewnym niesmakiem, jakby zgorszeniem. — Żadne mniej grzeczne słowo gospodarza lub gospodyni domu, nie obraziło go; żaden żart mniej przystojny, nie był przedmiotem rozmowy; — *Ludwinia* owszem, jakkolwiek mniej zajęta bawieniem gościa, jak spoglądaniem na szczegóły pokojów i męża, nie była jednak wcale niegrzeczną. — *Aryst* sam nawet dobrze nie wiedział czego się zgorszył; miłośnik myśli, snąc był inaczej ułożył moralnie, nowy dom *Edwina*, pomimo nawet całą gotowość poprzednią.

Aryst nie zerwał jednak, owszem po krótkim czasie, widywanie się ich z *Edwinem* być zaczęło

znovu codzienném. Zwykle Edwin śród ranka pracownią Arysta, wieczorem Aryst domek Edwina odwiedzał. Obecność nawet Ludwini coraz mniej dawała powodów do gorszenia się Arystowi. — Ludwinia pod przewodnictwem męża, po nie nawet zbyt długim czasie, uczyniła była znakomite postępy w przyjęciu. Rozmowę, jeśli nie poprowadzić, tedy wkrótce umiała już zacząć; pytania i odpowiedzi jej przestały z czasem w pół razić wykrzyknikami i głosem, (temi wykrzyknikami i głosem, tak niegdyś harmonijnymi gdzieindziej); uwagi jej nie tyle jednostronnemi być zaczęły.

Ludwinia z czasem zaczęła nawet należeć do rozmów wznioślejszych; to jest, nie wychodziła kiedy się zaczęły; nie wychodziła nawet w czasie częstego czytania, w czasie czytania prozy, i nawet poezyi; Ludwinia owszem polubiła poezyje, przy najmniej tak mówiła iż polubiła; i tylko nie czytywała ich będąc sama.

Przyczyna dla której małżonka Edwina nie czytywała zostając sama poezyj, nie była mistyczna. Przyczynę tę dostrzegł Edwin, dopiero w dni kilka po ślubie. Ludwinia nie umiała wcale pisać ani

czytać. — Edwin od zmiany stanu, zaczął był zmieniać i umysł; to z czego się sam był wyrwał, nie chciał widzieć wyzutek z żony, wspomniawszy na stan swój dawny, na swe nałogi lepsze i w część ich pragnął żonę przyoblec. Ludwinia aby się przypodobać mężowi, któremu winną była *utrzymanie*, słuchała go i jak mówimy słuchała nawet czytania; nie raz jednak jedno wtrącone słowo, jedna uwaga, nadzieję zmiany, i skutek starań Edwina, w niejaka podawały wątpliwość.

Jednego np. wieczoru Aryst po całodzienném bawieniu, zaczął w głos odczytywać poemat, który znał dobrze, który na pamięć umiał, który jednak odczytać pragnął; czyli to dla rozrywki własnej, dla ucieżenia myśli, lub dla ulgi serca, czy też dla poruszenia obcych. — Aryst do odczytania, wybrał jedno z miejsc piękniejszych poematu, miejsce, w którym poeta robiąc ustęp o wspomnieniach z lat młodszych, o domu straconej już matki który odwiedzał, wspomina też razem o łzach, któremi ten widok *opłacał*. Aryst dzieląc uniesienie mistyczne poety o wzajemnych obowiązkach ludzkości, z uczuciem czytał wiersz który szedł dalej:

„O! tak, przekłęci którzy nie nie płacą,

Za wszystko *płacić* trzeba.

Ludwinia która słuchała pilnie, w miejscu tém nie mogła się wstrzymać od nagłego rozweselenia i najszczerzy uśmiech wydała. — Edwin zgorszył się. Ludwinia wytłumaczyła mu, iż te ostatnie słowa były właśnie niezmienném prawidłem jednę z jej przyjaciółek, która nikomu zbliżać się nawet do siebie nie pozwalała *bezkarne*. — Edwin zmarszczył się, Aryst na wierszu tym zamknął książkę i zmienił przedmiot rozmowy.

Śród tych i podobnych tym szczegółów i dziejów, minęły jesień i zima. Zima dla Arysta przyjemna; dla Ludwini szczęśliwa i krótka, dla Edwina trochę za długa. — Rosnące zamyślenie Edwina co raz więcej było wyraźne, kwaśność co raz mniej zmienna, domu rzucanie częstsze. Tak przeminała wiosna. — Aryst z nadejściem dni ciepłych udał się za granicę kraju na podróż, na pierwszą jeszcze podróż i krótką, wrócił jednak z posuniętym doświadczeniem, talentem; widział Niemcy i Galeryją drezdeńską.

Po powrocie, jedną z pierwszych czynności Ary-

sta było odwiedzenie domku i towarzysza myśli do których był przywykł; towarzysza, którego przyjaciелеm swym mienił, do którego s podróży trzy listy pisał, na które jednak nie odebrał odpowiedzi.

Aryst, mówimy, po powrocie nazajutrz, odwiedził znajomy mu w *Alei* domek, innych jednak znalazł już tu mieszkańców. Gospodarze domku, gdzieby się podzieli lokatorowie poprzedni, nie wiedzieli. Aryst sądził że w ciągu dni kilku napotka w mieście Edwina, nie spotkał jednak. Jego znajomi inni, nie więcej powiedzieć nie mogli, wiedzieli tylko, iż przed kilku lub kilkunastu dniami, nie nie wspominał jeszcze o zmianie mieszkania. — Aryst poszedł i przejrzał spisy zamieszkujących w mieście ludności, czego jednak szukał nie znalazł. Aryst i inni znajomi Edwina usiłowali długo, lubo napróżno, wywiedzieć się coś o obrocie i losie Edwina; Aryst dłużej.

— „Mówilem Panu że to tak wreszcie się skończy, rzekł więcej niż średniego wieku a wesołej mowy mężczyzna wchodząc, ten któregośmy raz już widzieli (P. Ernest); taki to wpływ niematerii, resztek tej niematerii które mu były zostały; bia-

da jest istotnie materyi, żywiołowi którym jesteśmy, jeśli do niej gość ów zawita, zepchnij go, skutki zostawi.“

—Do czegoż ma zmierzać to?

—Do jednego z znajomych.

—Cóż przecie?

—Przechodziłem dziś jedną z ulic, ulic przedmieścia, nagle napotyka mię piękność, piękność strojna; spotykając spojrziała mi w oczy śmiało, ale minęła.

—Gdzież jest mąż? zapytałem

—Zabił się.

—Edwin się zabił? jak to?— Ludwini nie było już.

—Gdzie to? i w której stronie miasta panie Ernestcie?— Aryst chodził długo i często po tej stronie miasta i po ulicy, w której Ernest napotkał Ludwinę. Chodził napróżno. Wieść o własnym zabójstwie Edwina rozniosła się. Wieści tej poświęcili znajomi chwil kilka rozmów, lecz nie zdumienie. Po krótkim czasie, pamięć bytności Edwina pośród nawet najbliższych znajomych zatarła się. Aryst jednak w roku następnym odebrał list z pocz-

ty, z za granicy pisany, a na liście tym poznał rękę Edwina. Chciał oderwać z pośpiechem pieczęć, lecz nie oddarła się; pieczęć wpila się była w list który Edwin pisał; czyli to zniszczyć chciała te głoski które list mieścił? czy też ulubowała w nich?— Aryst rozedrzeć musiał kopertę na cztery strony i czytał:

Edwin X... do Arysta W... w Warszawie.

Tyrol 182... 5 Sierpnia.

—„Z dalekiego, Aryście, ale pięknego piszę do ciebie świata; — wy myślicie żem już może nainnym?... nie jeszcze. — Uspokoił i wzruszył mię owszem ten nowy wczorajszy widok, ten błogi widok gór białych, s czołem zimném i s czołem jasném, który dotąd bywał tylko w mój marze, na który'm dzieckiem tylko spoglądał, kiedy'm się przypatrywał obrazkom, i kiedy mi wykladała je matka. —

O moja matko!... gdzieś ty dziś?... Jam cię tak czcił, tyle kochał, szanował... tak cię czczę, kocham, i dzisiaj... a ty... wyście mię z ojcem... wykleli... — Gorzkie wzmianki, Aryście, ale coraz częstsze mi w myśli. Świat mię rzucił, wykleła mię

wróciwszy rychlój niż zwykle, znalazłem ją— w obje-
ciach sąsiada, jednego z młodych czeladników bliskiej
ślósarni.— O! byłem wdzięczen.— Wydziedzicze-
nie przez ojca kazało mi przewidywać trudność;—
całą ruchomość moję zostawiłem więc nazajutrz Lu-
dwini; a sam (z tym niejakim zapasem, który przy
ostatecznym wyklęciu przysłała mi matka), opuści-
łem ją i udałem się w miejsca te, inne.— Tu bło-
go; tak, tu mi błogo Aryście; dzisiaj przynajmniej-
czyli tak będzie długo? nie wiem; czyli nawet od-
dawna? nie pamiętam.— Wczoraj, tak wczoraj je-
szcze, czy wiesz?... jam nabijał strzelbę i chciałem
zabić... siebie? sądzisz... nie... myśli tej nie mam-
za nadto mam cierpień bym miał stwarzać nowe-
jam zabić chciałem... nie przez rozpacz, nie przez
gniew, o, nie przez zawiść; jam chciał tylko za-
bić— to dziecko, co na łące było; to takie ślicz-
ne dziecko które się tak bawiło; chciałem je za-
bić— dzieckiem.— Gwar ludzi przerwał mi myśl
dziś jużbym nie miał równiej.— Dziś... widziałem
czego dziś pragnę; dziś chciałbym pisać do ciebie
do matki, do moich krewnych; chciałbym uściskać
dzisiaj wszystkich znajomych ludzi;— nawet Lu-

dwinie; może się gniewa?... tak, ona gniewać się
może; ona by była inną, tak jest, może by była...
gdyby.... Aryście! władze tych gór, tego nieba na
które tu patrzę, silne są;... one niosą ku sobie i
niosą z sobą; one niosą w kraj wyższy, i temu co
go opuścił: lży cisną.— Niech niosą, niech ros-
kazuja.— Trupie skorupy rzeczy, nikłe są, myśl
tylko lecąca w górę, wieczną jest.— Moja małżon-
ka Ludwinia jakąż być mogła?— o kraju myśli!
jam chciał bluźnić, zapomnieć, rzucić cię; a tyś je-
den szczęściem— bez śmierci.— Aryście, ty mo-
że się dziwisz? może się dziwisz że piszę, nudzisz
się tem co piszę, gniewasz się że za długo, może bez
związku?... Dziś, jak mówię, pragnę pisania; miast
świata piśmienne składy, nie dostarczyłyby dość
treści do ukojenia żądy.— Wiele listów mam je-
szcze dziś pisać; — bądź zdrow.— Oby ta półbiesia-
da, którą dla przytłumienia trosk mych ostatka, mam
dzisiaj odbyć, nie odmieniła mi części lepszej tych
żądań.— Bądź zdrow...

PS. Śród innych, ukłon mój Wacławowi... sio-
strę jego z małżonkiem widziałem, u wód w M...
Zapewne szczęśliwą być musi, chociaż— u wód.—

spoglądali na twarz czerwoną i chore chrapanie gościa na kanapie w tymże pokoju rozciągniętego.

— „Ta czerwoność i to chrapanie nic dobrego nie wróżą” — rzekł stojący z zamyśloném licem mężczyzna do kobiety, która się oń wspierała.

— „Może też wróżą zmianę, rzekła. O mężu! jakże widok ten który mamy przed sobą, wstrętny jest i okropny!... ten widok... O jakże kiedyś był innym!!!

— „Ten widok, rzekła osoba trzecia z drugiej strony gościa chrapiącego stojąca, jest owszem... że się tak wyrażę: właściwym. — Pan ten skończyć inaczej nie mógł; nie koniec ale początek zgubił go! —

— „Winienbym nie nawidzieć to ciało, mówił ten o którego się wspierała młoda niewiasta, tę igraszkę wichrów żądz własnych, ten dziś przedmiot nie żalu, raczej odrazy; a jednak kocham je. Tak, tego człowieka ja kocham, dodał powolnie, przyciskając silniej rękę téj, która stała przy nim i do niéj swe słowa zwracając, kocham go, bom mu winien ciebie. Amelko! jemum był winien pierwszą wzmiankę, wiedzę o tobie, jemum

był winien pierwsze przyjęcie przez ciebie, jemum był winien pierwsze zapytanie od ciebie; jemum nareszcie (młoda osoba lekkim ust pocałunkiem chciała przerwać dalszy ciąg mowy)... jemum nareszcie dziś winien to szczęście co mię otacza. Nie, nie za ten dostatek, któryś mi wniosła, o wierz mi, nie za ten dostatek, lubo ten tak mi zmienił byt ziemski, nie za to go kocham, Amelko. — Rachuby które cię otaczały, nie miały miejsca w méj myśli; zdały mi się niegodne méj myśli od chwili zajęcia się jéj tobą, od chwili ujrzenia cię.

Młoda niewiasta uścisnęła lekko trzymając ją rękę na znak wdzięczności.

— „Żadna pycha nie była méj pysze równa w dni kilka po tém poznaniu; — o tak jest, wierz mi Amelko; — te okłaski stu dłoni, które mię co dnia witały; trzech akademij wience co mię zdobiły, lały mi tylko w serce kroplę téj słodkiej burzy, którą niekiedy uczuwa serce i zwie rokoszą... którą chcę rzec, uczulem: gdym po raz pierwszy wzrok twój dłużej zatrzymanym ujrzał nad moim. —

— „Mój mężu! odejdźmy stąd.”

— „Chrapie silniej, wnet się obudzi zapewne.”

„Czy jadł co?”

„Nie jadł, mówił mi że już od miesiąca nie jadł; czasem tylko brał napój aby się wzmocnił.”

— „Czyliś mi o tem wspominał że tu jestem?”

— „Wspomniałem.”

— „Czy chciał mię widzieć?”

— „Nie chciał. O! — ty być musisz szczęśliwym, rzekł mi tylko po chwili, ty będziesz też i wspa-
niałym. O! tak; od rodziców wyklęty; przez cały świat odepchnięty, nie chce wracać do świata ani do rodziców; nie mam już nóg tak silnych, bym na kolana je zginał. Tak, ty będziesz wspaniałym, ty przyjmiesz mię, i każesz pochować.”

— „Wyjdźmy stąd, rzekła młoda niewiasta, patrząc z rodzajem przestachu na śpiącą w zeszpe-
ceniu twarz gościa.”

— „Szukał tu w mieście, mówił, pomieszkani-
ę swój żony; nie znalazł. — Ona teraz — *nie w mieście*
i nasz pokój za swój ostatni obrał.” —

— „Powiadam ci, mężu mój, wyjdźmy;” — po-
wodziła młoda małżonka, usuwając lekko rękę z za-
trzymania i w tém krzyknęła. —

Leżący zbudził się, i pierwsze półobłąkane spoj-
zenie, które rzucił, spotkało się z siwemi oczami
niewiasty, co nań patrzyła. — Półprzytomny nie
krzyknął: nie dla tego jednak, zdaje się, iżby nie
poznał osoby, na którą spojrzał; owszem, zdało się
iż ją poznał, bo raz obróconego spojrzenia nie zwró-
cił i nie odrywał. —

— „Może łakniesz? lub może pragniesz?... zapy-
tał leżącego stojący, może też wstaniesz?... lub mo-
że podnieść cię?... tyś zdrowy i nie pogorszaj ma-
rą stanu twojego; utrudzenie przyniotło cię, dzień
pokoju zrobi cię innym.” — Leżący nic nie odrzekł,
jakby nie słyszał; tylko niezwrócone spojrzenie
trzymał na siwych oczach małżonki pytającego. —
Wzrok chorego był w jednej mierze, i zdało się
że nic nie czuł, a jednak pod wzrokiem tym wi-
dne były z wolna spadające po licu krople; czyli
to krople potu co się okazują na licu śmierć prze-
czuwającym? czy krople przypomnienia i wzruszeń?..

Nastąpiła chwila milczenia, jakby przeleciał
Aniół.

Milczenie to, było poprzedzeniem nagłego z ust
wszystkich trzech przytomnych wykrzyku.

Chory wstrząsł się, chciał jakby o coś zawołać, lecz nie mógł; opadł nagle, postać wyprężył; czerwoność lica w białosc się zamieniła; — oczy tyko, lubo już nie widzące, bez zamknięcia powiek zostały. —

Młodaniewiasta stojąca, s przerażeniem krzyknęła i skryła się w objęciu mężowskie.

Mężczyzna u nóg leżącego stojący, zbliżył się doń, dotknął ciała, i rzekł: „Już zimne.“

Mąż stojącej niewiasty przycisnął ją mocno do serca, wzrok nad umarłym zatrzymał, kilka łez z oczu upuścił i wznosił je w niebo.

— „Przyjmij duszę sługi swojego, Panie, zawołaj ją; przyjmij ją, jeśli przyjąć możesz... jeśliś jej zagroś tował przyjęcie... O! Tyś jest Bogiem Miłości i Błogościem Litości, ale też razem... Ach!...

„Bogiem Prawdy...”

Obraz ten który trwał przez chwil kilka w komnacie zmarłego lub raczej wołającego, rzeczywiście mógłby być przedmiotem mniej obojętnego i o innych rysach obrazu. — W wieku w którym jesteście

w którym tu przyjść nam dano, w tym wieku wznoszonych myśli, odcieni myśli; stopień i różność umysłów ukształcają się odmiennie, wydatniej. —

Przygoda chciała, iż te trzy tak odcienione odmiennością zasad umysły, któreśmy tu poznali, które się z sobą wiązały, tu się też wręście razem w dobie o której mówimy znalazły. —

Wyjaśnienie ich łatwo zapewne odgadnione być może.

Ten hożyh jeszcze lubo mniej miłych rysów (dziś już) w pół-starzec, który tak zimno patrzył na zimne ciało, który się jego konaniu, ani skonaniu nie dziwił, był to *Ernest* przyjaciel ciała, plód moralny ostatków wieku zeszłego, mniej — wiary, albo mniej — wiedzy. —

Ten wieku średniego człowiek, trzymający w ręku małżonkę młodą, a oczy bladego lica wznoszący w niebo, to był *Aryst*, wyznawca ducha i duszy. —

Ten trup z zeszpeconą twarzą, s twarzą w martwości jeszcze noszącą ślad męki myśli, burz myśli i zgrzytot myśli; to był — *Zaprzaniec*. —



8

— 88 —

PROSPERA.

»**P**rzyjaciółki! chcę opowiedzieć wam dzieje mo-
jej młodości, dzieje całe; lub raczój— kilka chwil,
kilka żywszych wspomnień s tych dziejów.—

Skąd mi ta siła? ta chęć? tego nie wiem.— Mo-
że dziś to zostaje mi danem dla niejakiój ulgi w mym
stanie?... może tylko dla sprawienia wam pewnej
rozrywki, uśmiechu?... Może też wręście dla nie-
jakiój przestrogi waszój, dla łyzy?— Oby— dla łyzy.—

Przyjaciółki! nie pytajcie mię kto ja jestem? gdzie
jestem? to się wam nie zda.— Nie pytajcie mię:

jaką dziś jestem? bo i jakoż mam odpowiedzieć, jakoż będę mogła wyrazić? ja, podobno najnieszczęśliwsza dziś z niewiast! albo raczej... tak;— najszczęśliwsza.—

Budzę moje wspomnienia i kreślę; chcecież?— słuchajcie.

Najdawniejszy który pamiętam dzień z mego życia, jest to dzień moich urodzin.— Kończyłam wtedy rok trzeci.— Nie pamiętam całości, przypominam jednak kilka szczegółów, chwil, dnia owego, a zwłaszcza— jedną.— Tak jest, zdaje mi się że widzę; widzę wieczór,— też ściany, też światła, też krzesła.— Na rękę mię trzymał wujaszek, przede mną biegał braciszek.— Ja miałam sukienkę białą, pamiętam, s *tiulu* białego; mały pasek— z *mory* niebieskiej, spięty s przodu na kłamrę *złotą*;— włosy miałam puszczone w pukle— jak archaniołek.— Wujaszek całował mię często, to w moje oczy, to w pasek; mówił: że podobne do siebie. Mój brat Józio ze Stasiem się bawił, Stasiem na-

szym sąsiadem, i rówieśnikiem swoim. Staś wtedy kończył lat 9, a Józio 8.—

Był to dzień, jak powiadam, moich urodzin; w dniu tym dostałam była sto podarunków od gości, ale tylko— od gości.— Moja matka na kilka dni przedtém sprawiła mi była nową sukienkę na dzień urodzin; miała też i wiązanie, ale oddała mi je dopiero nazajutrz.— Moja matka przez ranek zajęta była dnia tego kuchnią dla gości, a po obiedzie gośćmi.— Mój ojciec bawił najczęściej w mieście;— kochał mię, ale nie mógł przyjechać dnia tego.—

Przyjaciółki! cóż to jest nowe dziecko które wychodzi na świat (przypominam to, bo mówię właśnie o tój dobie życia mojego), na świat liczny i powiązany; świat myślący, mówiący, czyniący?— Jakoż to nowe dziecko, gdy wzrośnie, będzie czynić, myśleć i mówić?— Ono czynić i mówić tak będzie, jak będzie myśleć.— *Sprawcy myśli*, to sprawcy losu wzrastającego.—

Nie pamiętam w jaki sposób myśl moja a z nią i postęпки me rosły; zdaje mi się jednak iż rosły, jak was ledwie nie wszystkich podobno, przyja-

ciółki;— zmiana też losu, od was tylko nadal zależy.—

Cześć wam i pokój, o cienie rodziców moich!... nie bluźnię... mogłam więcćj od was mieć winy.— Pierwsze wyrazy prawdy, słowa wiary i objawienia, jam z ust waszych własnych słyszała; pierwsze przestrogi Boskie, od was zaznała;— wyście mię nauczyli jako mam czcić i jak mam modlić się— Bogu.— Jam też nie była nigdy *zbyt winną*, tak sądzę przynajmniej, nie, jam nie była nigdy *zbyt czysto-ziemską*, *zbyt prosto-ludzką*, bezbożną; jam wierzyła owszem, lubo bez *myśli*;— jam zaledwie nie zawsze wierzyła— mową, niekiedy— czynem.— Może nawet byłabym inną, gbybym zawsze słuchała rodziców, alem rzadko słyszała rodziców. Mój ojciec bawił najwięćj w mieście, jakem już rzekła; moja matka mało mówiła ze mną, mało— o *myśli*.—

Moja matka gdy była młodą, słynęła, jakem słyszała, równie z rozumu, *myśli*, jak s ciała piękności, więcćj jednak s ciała piękności.— Moja matka, była w mieście córką handlarza;— ojciec mój dziedzic wioski, który miał w mieście urząd i w mie-

ście bawił, poślubił moję matkę, właśnie s powodu piękności.— Mój ojciec (mijając iż to mój ojciec), był nader miły, rozsądny, i zdolny do urzędowych czynności człowiek, mianowicie też, jak mówiono, do urzędowych.— Żonę swoję kochał jak siebie, zdaje się jednak iż trochę więcćj siebie, bo matkę moję wywiózł do swojój wioski i już więcćj nie pozwalał wracać do miasta.— Kilka s tych znajomości które moja matka miała za lat swych młodych, znałam tylko z własnych jój ust.— Pragnęło mi się zawsze mocno do miasta, bym mogła ujrzeć ludzi, tych zwłaszcza młodych ludzi, o jakich opowiadała mi matka.— Moja matka, w czasie o którym mówię, miała lat okoko 50, nie okazywała jednak na tyle.—

Pierwsze lata mego dzieciństwa w domu, ubiegały mi prawie bez zmiany. Rozmowy z matką o szczegółach jój przeszłości, o mojej przyszłości, zajmowały co dnia prawie przynajmniej czasu godzinę; przez dnia resztę szukałam, lub racćj nie szukając nawet, spotykałam rozmowy inne;— rozmowy te mile mi były, bo miały związek s tém, o czém powiadała mi matka;— były to zwykłe

rozmowy z młodemi rówieśniczkami mojemu, z sąsiadkami i sąsiadami; w braku tych wreszcie z domownikami. — Miewałam też w tym czasie niekiedy i inną natury rozmowy, inne zajęcia, ale to tylko — niekiedy. — Były to małe zwykłe nauki dziecięce; — czytania, pisma, rachunków i t. p. —

Kiedy jednak ukończyłam lat dziesięć, przedmiot mych zatrudnień się zwiększył; — mój ojciec przysłał mi był z miasta guwernantkę, czyli przewodniczkę domową; przewodniczka ta (niemka), uczyła mnie po francuzku, muzyki i — tańczyć. Moja matka nader była szczęśliwą w tym czasie, z patrzania na mnie, w pół roku bowiem mogłam już czytać, każdą książkę francuzką; moja matka była szczęśliwą i dumną mówię; sądziła że rozumiała. —

Przyjaciółki! pragnę tu wam uczynić uwagę, która może wam zda się. Może wy także macie, lub chce mówić, będziecie kiedy miały córki i będziecie je uczyć języków, uczcie je; — nie to nie szkodzi że je będziecie uczyć, będzie to owszem pewnym szlachetniejszym dla nich czasu zabiciem, uczcie, jednak wtedy jedynie, jeśli ów język którego je nauczycie, znacie same, lub macie

osobę bliską co by go знаła. Moja matka, jak mówię, była szczęśliwą i dumną, gdy mnie widziała w rękę s książką, w języku obcym; o! to nie stało się jednak źródłem szczęścia dla mnie, że istotnie w lat kilka wielką ich liczbę połknęła. —

W jednakowym, w podobnym biegu upłynęło mi moje dzieciństwo, mych lat trzynaście; kilka dni cierpień lub chorób, znowu kilka żywszej rozrywki, były to całe odmiany w ciągu tych lat. — Wspominam tu o rozrywce żywszej, ta bowiem bywała niekiedy, a to kiedy odwiedzał nas — *Staś*. — Byłam mała i kochać nie mogłam, lecz *Staś* ten, o którym mówię, kochał mnie; wiedziałam to, i nie mogłam się tćm nie cieszyć. — *Staś* pierwszy był który mnie nauczył żartować, śmiać się, nawet czasem uściskać ukradkiem. Nie kochałam *Stasia*, jak mówię; uścisk jednak *Stasia* był mi słodkim i myślałam, że równie słodkim być musi uścisk każdego, — i uśmiechałam się do każdego, sądząc iż mnie uściśnię; — ale mię nikt nie ścisnął, prócz *Stasia*, bo się lękali; — nie mnie, ale mojej matki; i nie mieli tćj śmiałości co *Staś*; — chociaż może (mówiąc według mych owoczesnych myśli), nie słusznie. — Moja

matka raz zesła nas niespodzianie, kiedy mię ścisnął Staś,— Staś zacerwienił się— jak piwonija;— moja też matka istotnie, zgromiła go; mnie jednak nie gromiła tyle gdy inni wyszli, owszem ucałowała mię z lekka i ucałowała z uśmiechem;— dodała tylko: iżbym się na baczości miała,— zwłaszcza potem.— Miałam wtedy pamiętam lat 9.

Ale kiedy skończyła lat mych 13; o, pomnę to: w mojem życiu a losie zaszła zmiana stanowcza; moja matka pożegnała mię— i na zawsze.— Moja matka (jak to pamiętać mogę i to wspominać), miała małą wadę w swém oku, w oku (jak to dziś mówią) *myśli*; każde słowo, czyn, przedmiot, widziała czarno; od rana też do wieczora tłumaczyła czarno myśl swoje; słowa głośniejsze, przykrzejsze, nie raz nawet czyny które odpowiadały tym słowom, trwały od wieczora do rana, słudzy i domownicy były to zwykłe i codzienne przedmioty już słów tych, już czynów; czarność myśli przeciągała się jednak nie raz i dalej; i czułam ją.— Moja matka siebie jednak przez to głównie nieszczęśliwą czyniła;— kochała mnie i nie mogłam zejścia jej nie oplakać.— Mój ojciec oplakał także śmierć

matki, i kochał zapewne ją zawsze, już bowiem więcéj— nie żenił się.—

Miałam trzech braci starszych, s córek zaś byłam jedna u ojca. Braci do szkół, mnie ojciec oddał na pensyję, do dalekiego miasta, gdzie był mój wuj.— Pensyja na którą oddana byłam, to jest: do której chodziłam (bo mieszkalam u moich wujostwa), nie była najlepszą śród miasta; ojciec mój, jak słyszałam miał interessa przy schyłku; i miał— trzech synów.—

W domu wujostwa, czas mi rychło i dobrze upływał; moralna na pensyi praca nie wiele mię zwykłe męczyła, postąpiłam tylko trochę w językach, mianowicie francuzkim, język ten istotnie wkrótce lepiej rozumieć zaczęłam; czytałam nim i czytałam prawie bez przerwy;— do czytania od lat moich dziecinnych zawsze ochotę miałam; nie pamiętam kto mi ochotę tę wpoił, ale ktoś wpoił;— czytałam książki najwięcéj francuzkie, niekiedy polskie. Nie wiedziałam ja co to *myśl*, co to jest droga myśli, ale czytałam; nie wiedziałam iż droga ta *wiedzie*, iż jest różny cel i kierunek téj drogi.—

W lat parę mój ojciec doniósł mi, iż według

listu wujostwa, postęp mój naukowy był dostateczny, i uwolnił mię od dalszego uczęszczania pensyi, pożegnałam więc pensyją, i moje spółtowarzyszki pensyi, a powitałam — rok mego życia piętnasty. —

Roku, o nasz roku życia piętnasty! jakimże jesteś ty rokiem w tém naszym życiu! — o, tyś źródłem, wytryskiem, ogniem, naszych pierwszych wzruszeń, władz życia, myśli. — W tym roku, w tym roku dziś mi jeszcze tak żywo widowym, pamiętnym, myśl przy stroju toaletowym, śpiew przy brzęku fortepianowym, karty mych książek w ręku, zbyt żywiej mię zajmowały; — w roku tym, jak pamiętam, sto nauczyłam się piosnek, sto przeczytałam romansów, setny pierwszy — przeżyłam. —

Był to już właśnie koniec moich lat 15, szedł według porządku roku czas *Adwentu*. — Gdziein-dziej czas ten, jest czasem przerwy zabaw, rozmyślenia, przygotowań, pokuty; w mieście naszym, był owszem: czasem rozpoczęcia się zabaw. —

Przez czas adwentu tego, mieliśmy kilkanaście wieczorów w mieście, wieczorów tłumnych, wesółych; ja szczerze bawiłam się na nich; tak miło —

tańczyć. — Mój ojciec, jak już mówiłam, miał wioskę, interesa, mnie i trzech synów; — nikt jednak nie wiedział o tém iż miał synów i interessa; wiadzano tylko że miał mnie i wioskę, a to, nie przyczyniało się wcale, do zaspiewania szczegółów mych zabaw. —

Ostatni jednak wieczór adwentu, wieczór u *Księż-twa W.* przerwał mi s pewnej strony szczerość rozrywki, stał się stanowczym. —

Książę W. był to jeden z wyższych urzędników miastowych, był Wice-Rządcą Gubernii X. w której byłam. Jego małżonka Księżna W. była to dosyć miła i wychowana starannie, poważna dama; trochę nawet zbyt zapoważna nad wiek swój, i to trochę mieszało nas; — przez cały ciąg zimy, nie raczyła np. do mnie więcej, nad słów cztery, przemówić. —

Księżna W. nie należała nigdy do naszych zabaw i tańców; tego jednak wieczora, o którym mówię, lubo gospodyni wieczoru, stanęła niespodzianie do tańca, do koła mazurkowego; sądziłyśmy iż uczyniła to właśnie dla tego, iż była gospodynią wieczoru. Jój towarzyszem tańca był młody i miły człowiek hrabia S., Księżna W. mało

jednak zdała się zważać na towarzysza. Przypominam tu wszystkie szczegóły tego tańca. — Pierwsza w nim *zmiana* (figura) była obojętną; w drugiej zaczynająca dama wybierała sama tancerza. — Byłyśmy nader ciekawe, i patrzyły uważnie, jaki też Księżna W. wybór uczyni. Księżna W. wybierając, ominięła poważnie, jakby s pogardą, cały tłum przedstawiającej się bliżej sąsiedniej młodzieży i wybrała z uśmiechem: siedzącego dalej tancerza młodego, kształtniej postaci, w ślicznym ubiorze wojskowym, ze znakiem na piersiach towarzyszenia (adjutantostwa) jednemu z wyższych dowódców. — Ten wojskowy, młody wojskowy, był świeżym ze stolicy przybylcem; — Księżna W. zdaje się iż nie poprzestała na tym jednorazowym wyborze; w ciągu zmian nie raz zejść się umiała i przejść z nim w tańcu. — Bliski orszak tancerek poszedł za wzorem Xieźnej. — Ja lubiłam zawsze wojskowy ubiór w mężczyźnie, lubiłam go z innemi nad inny, ten ubiór, świadectwo żywe (nie mówię iż może mylne niekiedy) męstwa, wytrwałości i siły. — Có jest jednak rozważa, sąd wszelki w miarę czarów, uroku salonu, przynajmniej dla serc, poczynających

na świecie, chcę mówić, młodych! — Świeży gość ze stolicy, towarzysz dowódcy X. przedmiot uprzedzeń tylu, młody officer, stał się wkrótce jedną z głównych postaci wieczornych, główną osobą wśród tańca. — Moje towarzyszki tańcowe, jakże drżały szczęśliwe, ile razy umyślny, lub przypadkowy padł na nie wybór officera. — Czylibym drżała równie i była równie szczęśliwą? nie wiem; przez cały ciąg tańca o którym mówiłam, wybór ten nie wypadł był ani razu na mnie. — Po mazurze (pamiętam to wszystko dobrze), mieliśmy *kadryll*; Xieźna W. tańczyła go, lubo poważnie, z młodym wojskowym; tą razą jednak, mniej rozmawiała s tancerzem. — Po kadryllu mieliśmy walc. Wir walcu był właśnie w połowie, kiedy młody wojskowy zbliżył się do mnie, zbliżył się do mnie z uśmiechem; spojrzałam bliżej, i poznałam w nim... ko goż? — poznałam *Stasia*. Nie poznaliśmy się nawzajem i nie dziw, po latach sześciu, przed któremi Staś wyjechał był do wojska z sąsiedztwa; po latach przejścia z dzieciństwa. — Staś kogoś zapytał o mnie i poznał mię po nazwisku. — Miłe było, zgadnienie zapewne łatwo, téj dawniej znajomości wzno-

wienie.— Staś całą resztę wieczoru ze mną tylko prawie przetańczył.— Ten wieczór był mi najslodszy, tak;— a przynajmniej najżywszy w mém życiu.— Przeszedł, i rychło.—

Staś zaraz nazajutrz odwiedził nas; odwiedzał nas potem co dnia, uprzedzał nas i towarzyszył nam wszędzie; dobre serce wujenki mojej, było tém szczęśliwe i pyszne; moje— zginęło.— Tak; zginęło dla siebie, i całą swą siłą, treścią, chcę mówić, życiem, przylgnęło do serca— Stasia.— Miłości, ty bywasz nie raz istotniejszą, prawdziwszą, wieczniejszą, ale nigdy żywszą od pierwszej.— Serce które ukocha raz pierwszy, wśród jakiegoż to życia, przy obiegu krwi jakiej ukocha?... Jakież jest bicie jego przed oczyma przedmiotu myśli, po stracie ich, jak znowu odmienne.— Serce, które ukocha raz pierwszy, nie wie jeszcze że uczucia mijają, przemijają mogą; ono sądzi że to uczucie jest— wieczne.— Staś przypominał i nie raz i zrećźnie, naszą bliższą znajomość dawną; rumieniłam się, a ten uśmiech który towarzyszył zarumienieniu, nie zrażał zapewne Stasia;— mamże jednak rzec prawdę? Staś ani razu mię nie uściśnął jak dawniej.— Miasto, przy-

znać to można, nie raz dla położenia niektórych, więc jest bezpiecznie od wioski; żadne miejsce wśród miasta nie jest bez świadka; tysiąc okien cię widzi, tysiąc ścian podsłuchuje, same posadzki, sufity, nie są bez uszu. Przez cały czas bytności Stasia wśród miasta, przez całą zimę, nie pozostaliśmy z nim ani razu sam na sam.— Owszem, życzylismy może, aleśmy się trwożyli wzajemnie.— Ja pierwsza uciekałam kiedyśmy mieli pozostać.— O! nie uciekałam przez srogość, może nawet ani przez bojaźń światową.— *Miłość* i rok *piętnasty* nie raz źródłem, nie raz też są strażniczkami naszymi na drodze.— Nie stroniłam ja od nikogo, ani od Stasia, ani od Stasia, mówię, pókim go nie ukochała.—

Z końcem zimy przed memi oczami, ukończyła się wiosna szczęścia w mém sercu.— Zima odmieniła swe miejsce i pośród mego serca zamieszkała;— mróz ostry ściał jego bicia, śnieg biały osiadł mi na mój myśli, na licu — Staś s pulkiem z miastą wystąpił.

Do czegoż przyrównać bym mogła te dni od tej zimy biegące? te dni, które nie wiem czy dniami
9*

Kolegozbiór:

233/83

nazwać bym mogła?— Każda chwila mego istnienia, o tyle była mi tylko życiem, o ile była— wspomnieniem.— To każde wspomnienie moje... lecz i na cóż mam to wykladać?... Przyjaciółki, to tak zwyczajne... miłość *istotną* przez życie może nie każdy przebedzie... lecz pierwszą, każdy.— Osądzili nas, żeśmy niestale w uczuciach; tak osądzili nas, wy wiecie, czyli to słusznie?...

Rok minął, o! przeminęły dwa lata, dwie jesieni, dwie zimy;— dla świata przynajmniej;— we mnie i dla mnie była zawsze— ta jedna, o której rzekłam.

Przy końcu zimy trzeciej, światowej (miałam wtedy lat ośmnaście), Staś znowu nasze miasto odwiedził; znowu ujrzelśmy się... Był to wieczór, była to doba szara, jam siedziała przy fortepianie, i grała, siedziałam sama— kiedy Staś wszedł.— O! mój smutek wnet mnie opuścił;— z mojej myśli znikły śniegi, z lic blada barwa; z mego serca... tak, z serca mego mróz jednak nie odbiegł; pozostał, lubo może innym wiatrem natchnięty.— Moja matko! możem ja memi słowy ubliżyła w czém twojej pamięci? to było niesłusznie.— Moja matka, jak rze-

klam, miała pewną ostrość w swój myśli; ostrość ta przelała się w pewnej części i na mnie;— ta częśćka nie objawiła się wprawdzie, w owych czynach i słowach o jakich wzmieniałam, ale przemieniła się we mnie w stopień lżejszy swój siły i stopień może korzystny— w rodzaj dumy.— O! ta duma od wielu nie raz ratowała mię zboczeń; przynajmniej większych;— ta duma zachowała mię i w ów wieczór, w ów niespodziany wieczór ujrzenia się s tym tyloletnim przedmiotem mój myśli, przedmiotem mój myśli głównym, przedmiotem tak co raz piękniejszym ozdobnym; zachowała mię od ponizienia przed sobą, przynajmniej — od ostatniego.— W parę godzin przyszła wujenka.— Staś bawił cały ten wieczór; i bawił jeszcze dni parę.— Odtąd już nie widziałam się z Stasiem.— Przez cały ciąg jednak pobytu mego w mieście o którym mówię, nikt mię więcej nad niego nie zajął, widywałam lica piękniejsze, widywałam powabniejszych wojskowych; uśmiechałam się, i jak to zowią, umizgałam się może do nich, ale mię nie zajęli.

Kiedym miała lat dziewiętnaście, mój ojciec skończył swe sprawy;— sprzedał wioskę, sprzedał ją

na dobro swych wierzycieli; sam urząd swój od wyboru zmienił na jeden z lepiej płatnych w stolicy i tu przybyliśmy. —

Przybycie do ludniejszego miasta, stało się okresem w mém życiu, zmianą stanowczą. — Tu, w tém mieście, weszłam w byt życia innego, innych poznałam ludzi, inne koła, inne myśli, świat nowy. —

Mieszkanie któreśmy z ojcem zajęli, było przyzwoite; jednak, o ile śród miasta, skromne. — Zajęliśmy całe pierwsze piętro jakiegoś małego domku, lecz domku ładnego; w uliczce nie wspaniałej i ciasnej, lecz dosyć ludnej.

Rok pierwszy naszego mieszkania w mieście przeszedł nam był bez wielkiej odmiany. — Ruch, wir życia nowego, wielko-miejskiego, utrzymywały w jakowemś powietrzu stan myśli; — w tym wirze, jakkolwiek pustym, pamięć we mnie o wszystkim osłabła, nawet o Stasiu. —

Towarzystwo które się u ojca mego zbierało, nie było zbyt liczne; żaden mię s towarzystwa tego przez czas długi silniiej nie zajął, niekiedy jednak nie je-

den — zajął. — Towarzystwo które się u ojca mego zbierało, było najwięcej kartowe, więc obojętne dla mnie. — Czasem tylko s towarzystwa tego nie którzy rzucali karty i prowadzili rozmowę; a ta nie raz mię była zajęła, nie raz wzruszała, mieszała. — *To*, co bywało w mych oczach gdzieindziej przedmiotem żartów, szyderstwa i prawie wzgardy, tu ujrzałam, iż nie było wcale przedmiotem wzgardy. — Rozmowy te, jak powiadam, z razu mieszały mnie, dalej jednak przywijały do siebie i silnie; — snuć swoją *prawdę*. —

Jednego wieczora, w przerwie gry kartowej, mowa którą pamiętam, a która była jedną s tych o których wzmieniłam, rozpoczęła się i toczyła w tych słowach:

— „Bylbym szczęśliwy mocno, gdybym go poznał a bliżej?„ —

— „Oskara?„ —

— „Tak jest.„ —

— „Ten *poemmat*, który napisał Oskar, jest piękny, prawda; — ale — i cóż stąd?... tyle jest dzisiaj ludzi co piszą podobnie pięknie, i cóż stąd?... —

— „Wielu jest ludzi dzisiaj co piszą pięknie, to

prawda, ale zaprzeczam temu: że podobnie. Żaden z ludzi nie pisał jak Oskar, i powtarzam: chciałbym mocno poznać Oskara.—

— „Ten P. Oskar to podobno *poeta*? zapytał mój ojciec.—

— „Poeta? odpowiedział mówiący, i chwilę zamyslił się,— tak jest.— O! dziś jednak poeta, to nie poeta dawny. Dzięki światu, (rzec można), czy też wiekowi świata, świat ten inaczej dziś widzi.— Ludzi treści mniej ziemskiej niegdyś piętnowano nazwami, nazwami wzgardy:— nazwy: *Autor*, *Literat*, nawet *Poeta*, były to jakieś nazwy jakby mniej ważnej kasty, zoologijnych wskazań.— Z dwóch wprost różnych złożeni pierwiastków s *ciała* i *ducha*, ciałem należymy do ziemi, do ziemi nikłej, duchem, do trwania wiecznego.— Więcej ziemscy, więcej cieleśni, długo też byliśmy więcej ziemscy, więcej cieleśni— oczami.— Dziś już nie tak.— *Duchowość*, jój objawienie, jój stopień, dziś bierzemy za miarę, za stopień ubranego w ciało stworzenia; możni władce swe zamki, spadkowe nazwy; wodze laury; nawet króle swą siłę, wieniec; pragną zmieniać, lub pragną *zdobić* w słowa *wcielane*.—

Myśl w ziemską szatę ujęta, część siebie pozostawia po sobie.— Myśl nasza zatrzymana przez piśmo, to część *nas* zatrzymana.— Ciało zniknie, a ta część *zatrzymana* musi zostać; musi zostać, trwać, działać— bez końca.

— „Musi działać, rzekł drugi, jeżeli ma siłę działania.“—

— „Tak jest, jeżeli ma *siłę*, to też chcę mówić.— Zwracam myśl na nasz przedmiot, lub raczej na nasze źródło rozmowy; na pieśni jednego z wieszczów.— Siła słowa spoczywa w przyrodzie słowa.— Przyroda słowa jest silną, jeżeli jest częstką reszty przyrody, ogółu jój.— Nie znamy źródła i celów nas stworzeń, przyrody; owę jednak siłę czujemy.— Nie znamy stopnia i miary do jakich tu dojść nam dano; naszym mowom czynom i myślom; tak, zwłaszcza myślom.— Z jakimże upragnieniem i drżeniem witamy tu każde nowéj myśli zjawienie, każde nowych myśli wcielenie, myśli zwłaszcza śmielszych— poezyją.— Jak śmieszne... jak są śmieszne, przypomnijmy tu w miejscu, owe prawidła, miary, wyciągnięte z myśli poprzednich i wkładane za miarę następcom;— następcom, których stopień, potęga dopuszczonego

tu lotu, są nam nieznane.— Treść obudzona myśłą i wcielana piórem Oskara, jest istotnie, jakieś my rzekli, muićj zwykłą.— Z jakąż niecierpliwością, zajęciem, oczekujemy dalszych rozwinięć, objaw, tego pióra, tćj myśli.“ —

Wybiegłam, aby zapisać te słowa, zapisałam je chociaż zapewne zbyt słabićj, zbyt bladzićj, niż były mówione głosem; bo też nie mogłam zatrzymać i odbić głosów które mówiły.— Rozmowy równe, powtarzam, były zbyt nowe dla mnie, zastanawiające, dziwiące.— Moje oczy, myśl, serce, jakby na nowo żyć, czuć, żądać, rozwijać się poczynaly.— Nie widziałam, niejednokrotnie nawet, na jakićj, czy na tćj na którćj przed tćm ziemi jestem? gdym wracała od równych rozmów.— *Autor, literat, poeta*, te słowa tak niegdyś, (smutno mi wspomnieć to; nawet przez tyle osób mi bliższych) nie dbałe, tak *mechanicznie* wzmieniane;— były teraz w mćj myśli: w kształcie gwiazd, meteorów— ludzkości; w kształcie i blasku.—

Rozmowy podobnćj treści z nagłością wpadały we mnie; burzyły i przekształcały mi— *myśl*.— Jakąż wagę wiązać zaczęłam odtąd do tego co czu-

łam, co rozwijałam przed sobą sama, do mojęj— myśli.— Nie byłam już zakochaną;— pamięć o Stasiu, jakim to wspomniała, we mnie ostygła;— tak, teraz zwłaszcza, kiedy mi powiadano o myśli; o myśli, o którćj Staś mi nie mówił.—

Jedna też doba głównie w tym czasie stała mi się miłszą nad inne; nie *dzienna*, to igranie mar, złudzeń, pstrych, jasnych prawda, błyszczących, lecz zawsze — złudzeń; nie *nocna*, w którćj albo śmierć sama lub ziemskość w ićj najznikomszćj szacie przedstawiają się nam; ale ta doba blada, wieczorna, *szara*; tak podobna przyrodzie mćj myśli, bo doba *przejęcia*.— Siedzieć w oknie w tćj dobie, a siedzieć samćj, s półmyśłą s półświatem we mgle, to było, tak do mnie samćj podobne, do *bytów* ziemskich;— to mi była rokosz w tym czasie.

A kiedym tak rozmyślała o myśli, o tym duchu, duchu *żyjącym*; jakżem pragnęła poznać, chociażby ujrzyć na chwilę, którego s tych, co wcielają ją *nową*, wcielają *sztucznie*, co tak silnićj żyją nad innych, prawdziwićj, istotnićj, wiecznićj.— Przyjaciółki, wyobrażenie moje radość, wzruszenie, kiedym nagle, spełnienia tego pragnienia mego, ujrzała podobnoś-

Jeden s panów którzy w domu naszym bywali, (*P. Ludwik X.*) ten właśnie którego najwięcej słów wyżej przytoczyłam, obiecał do domu naszego przedstawić *p. Eryka Z.*—*P. Eryk Z.* w jednym z wychodzących dzienników drukował piosnkę piosnkę piękną. Posłyszawszy tę obietnicę ja porzuciłam wszystko, moje myśli, prace, rozrywki, i czekałam tylko dnia tego. godziny, chwili, w której miałam ujrzeć raz pierwszy tego *p. Eryka*; pierwszy oraz w życiu twórcę—przynajmniej piosnki.

Ten dzień i ta chwila nadeszły. Było to latem, pamiętam; tak, dzień ten pamiętam dobrze. Panowie *Eryk* i *Ludwik* przyszli o 8, było to lato, mówię, i był dzień jeszcze. *P. Eryk* (mówiąc o ciele), był to mężczyzna piękny, blondyn, wysoki, blady i oczu błędných.—Patrzyłam na niego uważnie, jakbym coś oddzielnego od innych ujrzeć w nim chciała; na każde słowo, ruszenie, na każde spojrzenie *p. Eryka* zważałam pilnie.—Po pewnym czasie rozmowy *p. Eryk Z.* powstał skrzęsła, postąpił krokiem wolnym i stanął przy oknie,—stanął przy oknie jedném, ja byłam siedzącą przy drugim.

„Nie widać“—rzekł po chwili stojąc *p. Eryk*.

„Kogo?“ zapytał od stolika *p. Ludwik*.

— „Tego właśnie o którym mówiliśmy, którego nad innych wznosiliśmy; któremu dorównać kiedyś, jest mi najmilszą, jest owszem, rzec mogę, jedyną marą, nadzieją.

— „Oskar tu mieszka?...

— „Tu.“—

Nie słyszałam rozmowy dalszej około siebie; to jedno, to krótkie słowo, stało mi się słowem stanowczém.

Jakto? pomyślałam zmieniona, (zmieniona mówię, bo czułam że mi na twarz rumieniec wystąpił) jakto? ten wółzaniedbany, ten mały, ten owszem (tak mi się zdało przynajmniej), nie raz dziwaczny chłopiec, ten chłopiec młody;—którego ledwie nie codziennie widziałam przez moje okno, widziałam go wśród jego pokoju, to—*Oskar*! Nie słyszałam już mówię dalszej rozmowy, i nie patrzyłam na nic, nawet na gościa;—moje myśli i moje oczy uwiązały się tylko w mém oknie.—Moje okno, to okno, takie małe okno wśród miasta, nic co przed światem, stało się odtąd mym światem.

tem. — Moje myśli, szczęście, całe me życie, przemieniło się w okno. W tém oknie siedziałam z rana, siedziałam w czas południa, wieczoru. — Kiedym tylko mogła być przy niém, siedziałam przy niém; i z okna — na jedno tylko okno patrzyłam.

Po upływie miesięcy kilku, już nie siadywałam tak często; Oskar Y. sam do nas przychodził.

Przyjaciółki, może wy także w życiu kiedy poznać wieszczą, wieszczą wyższego, ja więc uprzedzam was, nie twórzcie *idealu* — bez wady. — My postać nieznaną nam ducha, duch cały; — mieszać, ukształcać zwykłyśmy, według tej cząstki ducha, jaką zaznałyśmy s *pism*, a to jest cząstka. — Cząstka jest zapewne rzetelną cząstką całości, lecz całość innéj być może, innéj owszem być *musi* barwy niż cząstka; ona musi być składem nie jednéj cząstki. Oskar Y. kiedym go ujrzała raz pierwszy, stał mi się przedmiotem nowego zdziwienia. Oskar Y. nie mówił nie prawie o piśmie, o duchu, nawet — o myśli; gdybym nie wiedziała tego pierwéj, nie uwierzyłabym może nawet, że Oskar może co

pisać, nawet myśleć. Jakżeż to potworzeni ludzie wśród świata? — Za błąd światowi to wzięłam iż o nim powiedział: wieszcz! oni nazwali go wieszczem, ci, którzy nie znają go wcale, myślałam, a to jest człowiek. — Oskar wydał mi się wesołym, żywym i towarzyskim, prawie owszem, wyznać to muszę, pustym; i oni mówili — wieszcz! — Oskar Y. był to chłopiec mały, rysów żywych może, ale niekształtnych, i miał to być ten, któremu zdał się zazdrościć, którego owszem chciał dosięść P. Eryk?....

Czyli to było skutkiem jakowejś samolubnéj radości, czy chęci okazania zgorszenia, nie prawie nie mówiłam z Oskarem przy owém pierwszém poznaniu żywom owszem rozmawiała z innymi, tylko z innymi — i *szczerze* śmiałam się. Oskar Y. nie zabawił długo i wyszedł. Gdy wyszedł, jakąś zmianę w sobie uczułam. Mój uśmiech, moja wesołość znikły, znikł mi wszelki przedmiot rozmowy s tymi, s którymi śmiałam się. Chciałam powstać, biedz, przejąc i zwrócić nowego gościa.

Ustami śmiałam się jeszcze i przez żart niby przybliżyłam się znowu do okna. Przy tém oknie u-

siadłam, nikt nie oderwał, nikt może nie mógłby mnie oderwać, od okna.

Oskar nie przyszedł prędko odwiedzić nas swych sąsiadów po raz drugi, jednakże — przyszedł. — Z odwiedzeniem trzecim przyszedł rychlej, czwarte nastąpiło wkrótce po trzecim, dalej nas codzień odwiedzał.

W parę czy więcej miesięcy naszej bliższej znajomości z Oskarem, Rózia (imie mej pokojówki) raz oddała mi była rano *paczek* i rzekła — iż od Oskara; — rozerwałam związanie, zdarłam prędko obłonę paczka, a w tem — zadrżałam. Ledwie była zdarła związanie, gdy wszedł — mój ojciec. Mój ojciec był to może jeden z najlepszych ojców, lecz często gromił mnie; nie raz moje słowo, czyn, jakowys postępki, nie zdawały się dobre mojemu ojcu, i gromił mnie, mój ojciec przy ludziach mnie pieścił, prawie całował; ale bez ludzi, jak to powiadam, gromił, — zmieszałam się, więc, mozem nawet zbladła kiedym ujrzała ojca i kiedy mnie spytał groźnie: co trzymam? Nie mogłam tać, wyznałam; iż to jest przysłanie od Oskara, a drżałam, bom nie wiedziała co znajdę; — ojciec sam

rozdarł drugie okrycie i wyjął — książkę. Była to książka mała, poemmat który świeżo napisał Oskar, i (wyrzcił to własnem pismem na pierwszej karcie) w exemplarzu tym memu ojcu poświęcał. Odżyłam; jakżem szczęśliwą była z podobnego postępu Oskara; choć może chwilę pierwój, nie byłabym tyle. — Mój ojciec uśmiechnął się nawet, ucałował mnie i zostawił mi w ręku paczkę. Przeczytałam, polknęłam prędko to pismo, które był stworzył Oskar, jakżem umiała je czytać. Nie opuściłam jednego słowa, obrazu, myśli. — Jakżem się dziwiła tym myślom, i że je tworzył Oskar, ten, o którym chciałam uprzedzać. Zdało mi się iż po raz pierwszy czytam myśli Oskara. Stało mi się jednak s pewnej strony przykro po odczytaniu. W całém tém nowém piśmie Oskara nie znalazłam prawie pólslowa uczucia, którego szukałam; nie s tego o czem mówił; a jednak sądziłam że znajdę; byłam pewna że znaleźć muszę, bo Oskar — kochał mnie.

Dwie były osoby które prawie codziennie w domu naszym bywały: *Oskar* i *Robert*; ojciec mój jednego i drugiego dobrze widział i dobrze przyj-

mował, jednak Roberta lepiej; — przez to samo nie nawidziałam prawie Roberta. Jednak po jakimś czasie, przyszedł do mnie mój ojciec poranku jednego i rzekł mi, iż Robert oświadczenie uczynił. Robert był synem a synem jedynym właściciela domu w którym mieszkaliśmy, i był przy tém pobiorcą dobrej płacy za urząd. — Mój ojciec dodał więc iż nie powinnam wahać się przy tém oświadczeniu, zrobił mi nadto uwagę — iż młodość mija, płakałam mocno posłyszawszy te słowa ojca i — przyrzekłam.

Może się wydziwić będziecie, przyjaciółki, (chcę zawsze rzec — czytelniczki), że kochałam, tak jest, bom ja kochała Oskara, i że przyrzekłam drugiemu; tak jednak było. — Jam witała, jam podziwiała świat nowy, świat myśli którym poznała, ale.. winnam to wyznać; — jam mimo woli, szła za *inną* woli popędem. Jam witała, jam podziwiała świat myśli, lecz nie tworzyłam go w sobie, przynajmniej nie w jego szczegółach rzetelniejszych. — Jam kochała Oskara, kochałam go może s przyczyn jego *myśli*, ale nie w celach *myślnych*. Nie zważałam i nie dbałam o przyszłość która jakąkol-

wiek być musi; *tworzenie szczęścia chwil obecnych, było zawsze jedynym mi celem.* Moim celem i głównym był Oskar. To mi było mało aby go codzień widzieć: by słyszeć; to było mało mi. Oskar nie raz śmieliej przemówił do mnie, nie raz zbyt śmieliej; jam unikała go, ale mi pozostawał w myśli, pozostawał wtedy szczególnie gdy mię porzucał.

Wieczora który nastąpił po owym ranku w którym płakałam, w którym Robertowi przyrzekłam, usiadłam jak zwykle przy oknie sama, tylko — z mą myślą; bo doba wśród której usiadłam, była to ulubiona moja, ta o której wspominałam już — szara. — Przed oknem ujrzałam światło i przywołałam Rózię; i com rzekła jej, nie pamiętam; ona wyszła i zostawiła mnie samą, w pół chwili jednak nie byłam samą, był przy mnie Oskar.

Jakżem szczęśliwą była! — Prócz mnie i oprócz Oskara nie było nikogo w domu, Różia tylko i w ręku Rózi zamknięcia. — Oskar wchodząc przybliżał się do mnie, jam go powitała wdzięcznie, i uprzedzając rzekłam: „Oskarze, mój panie Oskarze, mam ci coś wyznać, lub raczej tak: chcę ci zapytanie uczynić. Ten s którym tu bywasz

codnia, Robert, oświadczył się o mnie. Mój ojciec żąda abym poszła za niego, — czy mam pójść?—Mówiąc to, jam się przybliżyła do Oskara, jam sądziła że Oskar za rękę mię weźmie;— Oskar nie wziął.—Oskar nie wziął; zdało mi się że zbladł; jam poszła i usiadła przy oknie, sądziłam że Oskar usiądzie tuż przy mnie; Oskar zbliżył się i usiadł także przy oknie;—ale nie przy mnie—nie usiadł jednak, wsparł rękę na swoim kolanie, głowę na rękę.

— „Ty masz iść za mąż, Prospero, po chwili rzekł mi, ty masz iść za mąż?...masz przysiąc wiary, i komuż?...temu którego znam, Robertowi; źle mówię, którego znam, ja nie znam go...ty musisz go znać lepiej Prospero?“

— „Znam go, lepiej jeszcze zna go mój ojciec, i chce abym poszła za niego; nawet rychło.“

— „Rychło?“

— „Miesiąc czasu i być muszę żoną Roberta.“

— „Miesiąc?—Oskar oderwał od ręki swe lice, swe lice blade, spojrzał mi w oczy wpółbłędnie, i porwał mą rękę.—

Uśmiechnęłam się, i tak szczęśliwą byłam że mię za rękę porwał.

Nie usuwałam ręki, Oskar co raz mocniej ją ścisnął; lecz po półchwili, po tej tak krotkiej półchwili, oznajmiła nam Rózia że wraca — Ojciec.

Oskar opuścił mą rękę, opuścił zimno; powstał skrzęśła, oddalił się, i powiedział tylko:

„Prospero!“

— Za miesiąc, rzekłam, ta ręka, związaną zapewne będzie; ale ja—wolną. Oskarze! czy nas często odwiedzać będziesz? Czy będziesz nam towarzyszył w dzień ślubu?

Dziwnych uczuć na licu Oskara widną była walka przy blasku nocy; — tych uczuć i natury téj walki, jeszcze nie mogła pojąć.

Zawiść, siła zawiści, a tej zawiści tak milej, zdało mi się, iż były to jedyne źródła tych uczuć; uśmiechnęłam się, bom pomyślała w sobie, uprzątnę je.

Oskar nie więcej nie rzekł, tylko z jakimś rodzajem wzgardy, wzgardy, tak sądziłam, udanej pożegnał mię, zimny ukłon uczynił i odszedł—drugą stroną pokojów. Przed wyjściem zatrzymał się jeszcze i dodał, że już więcej nie wróci. — Nie zapłakałam

wcale na te słowa, same źródło wydania ich wskazywało mi, iż prawdą nie były.

Oskar wyszedł; jam poszła do okna, lecz nie ujrzałam przez nie Oskara, nie wrócił do siebie. Po godzinie jednak lub więcej ujrzałam światło; całą tę noc paliło się światło w pokoju Oskara; blask jego padał na moje oczy, a téj nocy prawie nie spałam.

Nazajutrz rano Różia oddała mi kartkę; poznałam rękę.—Była to kartka Oskara; była krótka i miała te tylko słowa:

„Jeśli to jest podobnem, wstrzymaj się...czemuż raczej swój rękę związać nie możesz z moją?...rychlej, zupełniej byłabyś wkrótce wolną: jeden twój uścisk, Prospero, i byłabyś—*wolną*“

Byłam dumną po przeczytaniu téj kartki, tém położeniem mojem, uczuciem, którem umiała natchnąć, byłam szczęśliwą;—przybliżona do okna, ucałowałam stojąc w niem kartkę)—nie pokazałam jej jednak ojcu i nie pomyślałam dobrze co pocznę. Oskar mię prosił—o zwłokę. Ta zwłoka jakizby skutek przyniosła?—Z uczuć mych i nadziei nigdy sobie wyraźnie sprawy nie zdała. W Os-

karze jam ukochała była jego *duch* głównie; nie *duch tylko*; ale w połączeniu wzajemnych potrzeb, przykrości, nędz ziemskich, jakieś powody nadal umniejszenia méj miłości upatrywałam; tak może wreszcie sądziłam tylko że upatruję; bo Oskar nie oświadczał się mnie wyraźnie; a ojciec kazał mi iść za Roberta.

Oskar klęczał przed mojem oknem; w słaby uśmiech lice swe odział, kiedy ujrzał uścisk swéj kartki.—Nie mogłam mu odpowiedzieć ustami, lecz tylko wzrokiem, lubom nie wiedziała sama co odpowiadam.—

Ślub mój chciałam jednak odwlec istotnie;—i płakałam tegoż wieczora gorzko, bo mój ojciec rzekł: iż nie mogę. Mój ojciec nie przyjmował już dobrze Oskara bo tak chciał Robert, byłam jednak zawsze szczęśliwa—bom go widziała codziennie; a gdy przeplakała pięć nocy, jakżem czekała chwili, bym pani domu, przyjmować go codziennie mogła.—

Miesiąc minął i mój ślub z Robertem się odbył.—

W wigilię ślubu widziałam jeszcze Oskara śród jego okna; w dzień ślubu mego (mocno to było mi przykro) nie przyszedł; nawet w oknie go nie widziałam.

Przyjaciółki! jakże nie raz te losy które marzymy sobie, te wypadki, które nas spotykają, są zwo-
dne, kłamliwe, ślepe?— Jest że to jednak nieszczę-
ściem iż ślepe są?... czyli też jest dobrodziejstwem
to raczej? przedłużeniem szczęścia, ślepoty?...

Przyjaciółki! czyliżem mogła sądzić że to spojrze-
nie Oskara, ten cień jego przy blasku światła któ-
rym przechodzący w wigilię ślubu ujrzała, były
ostatnie dla moich oczu, że był to mój ostatni z nim
związek?

Dni pierwsze mego związku nowego upłynęły
mi w pewnym rozerwaniu, zajęciu się domem no-
wym; chcę mówić mojem nowem mieszkaniem; bo
dom tenże pozostał.— Też ściany domu koło mnie,
tenże dach domu nademną, i tenże widok przede
mną.— Żle mówię że tenże widok; tenże dom i
ściany przede mną, ale nie tenże widok.— W pa-
rę wieczorów kiedym odwiedziła mojego ojca, uj-
rzałam blask w pokojach Oskara, lecz nie było je-
go postaci;— ujrzałam kobietę i dziecko;— miesz-
kańce byli już inni.—

Odwiedzenia mię przez Oskara oczekiwałam na-
próżno; z razu lękałam się tylko o przeszkody ze stro-

ny męża; lubom skądinąd nie wiele przywiązywała
wagi do tych przeszkód; znałam dobrze władzę mą
nad nim. Zgadnąć przecież nie mogłam, dla cze-
go nie pokazywał się Oskar?— Były chwile wktó-
rych mię myśl spotykała, iż sobie życie odjął;—
jednak codziennie prawie zdarzyło mi się posłyszć
coś o nim.

Dni moje pewnym ciężarem stawać mi się da-
lój zaczęły.— Duch i słowa Oskara unosiły się co
dnia nademną, i obudzały się we mnie, s każdym
dniem nowym, s każdym dniem pusto-przebytym,
silniej.— Widziałam i słyszałam ludzi koło mnie,
i zdało mi się że ludzi nie widzę, ich słów nie
słyszę.— Te słowa com od Oskara miała wcie-
lone w pismo, były co dnia przedemną;— słowa
które od niego miałam, powiadam;— bo owych
pisanych dla *wszystkich* czytać nie mogłam.— Mój
mąż, mój obrany przez ojca, mój przyjęty przeze
mnie mąż, nie szczędził mi zapewne słów przywią-
nia; pragnęłam już jednak i innych i mimowolnie
myślałam: jakaby byłam?. Miłość obca, dzięki zrzą-
dzeniu, ta miłość, tak nie raz w przykrości obfita,
ma jednak korzyść: iż zwykle łączy się z własną.

Im mi były silniejsze bóle, im większą ta w koło pustość, tym łatwiej wyobrażałam sobie równą mękę Oskara; — owszem, z jego strony — zwiększoną. Ta myśl mi była ratunkiem, ożywieniem, wzmożeniem, nadzieją. — Nie długo jednak. — W kilka miesięcy po zawarciu mego związku ślubnego, w jednym z pism wyczytałam wiadomość, o zawartym podobnym i przez Oskara.

Przyjaciółki! wy być może sądzicie iż dzieje te które kreślę przed wami, są to me dzieje dawne; — nie, nie są. — Powiększone jednak w tym czasie koło mnie troski mego męża i ojca; jakaś mimowolna wytrwałość, myśl wręczcie iż postępek Oskara, ten postępek tak rychły był tylko rodzajem zemsty, utrzymywały mię w pewnej uczuć marzowości. —

Los pragnął abym już nigdy podobno więcej nie miała ujrzeć Oskara, los pragnął jednak iżbym się uleczyła z moich złudzeń; chcę mówić, abym i te przeżyła. —

Moja Rózia zbyt mi usłużną być chciała; — ja nie posądzam jęj, nie chcę także posądzać żony Oskara; — lecz nie długo po związku wpadło mi

w ręce pismo własną jego ręką pisane; snadź do żony przed związkiem, a w skutek wątpliwości niejaki. — To pismo nie było krótkie, nie było wyraźne. Nie potrzebowałam jednak tłumaczy aby je pojąć. — Przytoczę tu parę słów s tego pisma; słów, które mi w pamięci zostały, bo pismo zdarłam.

„Ona miała władzę nademną, to prawda; władzę gwiazdy; — jam ją wielbił, czeił, kochał i klękał przed nią pokim ją witał; — gdy znikła, blask jęj nie zostawił śladu po sobie. — To nie słońce którym ty jesteś“.... etc.

I w inném miejscu:

„Czyliżes mogła myśleć iżbym żalował;... iżbym żalował żem nie został małżonkiem tęj, która chciała więzów małżeńskich aby być wolną!...“

Byłam smutną po tém odarciu ze złudzeń, jednak nie tyle. — Ta czarność i ten postępek Oskara, zraziły mię, ujęły mu przedemną, kazały mi uczuć wzgardę. Nie byłam wprawdzie wesolą, lecz też nie byłam smutną; tak przynajmniej sądzę, że nie byłam. —

Nie wiele już odtąd w mych dziejach do dodania mam, Przyjaciółki; w tym jednak krótkim przeciągu

dwa zbyt różne przeżyłam jeszcze uczucia: na świat wydałam — Felkę, i utraciłam ojca. — Oplakałam mocno tę stratę i wdziałam tę smutną suknię w której dziś piszę. — Zajeliśmy mieszkanie poprzednie po śmierci ojca. Mieszkanie to przypomniało mi żywiej czas dawny. — O Oskarze często myślałam, i raz wręście przyszło mi na myśl, że nie miała powodów czuć wzgardy. —

Miesiąc temu kiedyś chrząknęła, w chrząknięciu ujrzałam krew; przejęły mnie gorączkowe bóle i położyłam się. — Lekarz przyszedł i kazał mi upuścić krwi więcej; upuszczono mi bo tego pragnął mój mąż. — To ulżyło mi lecz nie na długo. — Tak, przyjaciółki;... już sił mych ziemskich nie wiele, muszę pożegnać was; lekarz co dnia do mnie przychodzi, przychodzi, bo tego pragnie mój mąż, moi domowi. — Oni zwodzą mnie, a ja ich zwodzę nawzajem. — Oni sądzą iż nie znam stanu mojego, a ja udaję przed nimi że nie znam, ale znam go. —

Ja nie żałuję świata.. tak; — duch mojego Oskara i słów Oskara dają mi najmielsze spomnienia s przeszłości mojej, i nie lękam się o nich myśleć: one mię zbawią. — Dobrze nie raz powtarzał mi

Oskar: *Co ziemskie, znikłe.* — Mój spowiednik który przychodził do mnie, rozgrzeszył mnie.

Ach, Przyjaciółki! jad jednak bólów codziennych, myśl pewna o bliskiej przyszłości, przyszłości tajemniczej, odmienniej, a w swęj odmianie wiecznej, — trwożą. Żał mi także mojej *Felci* maleńkiej, tej Felci którą widzę co dnia w spowiciu, która uśmiecha się do mnie i roztwiera swe małe oczy gdy na nią patrzę; te oczy które będzie miała kiedyś jak Oskar — których nie ujrzę. —

Przyjaciółki! o moje Przyjaciółki! żegnajcie. — Co oczekuje mię *tam...* tego nie wiem... co *tu!* i wkrótce.. *och!*... same, — same domówcie. — Pióro me!... dla czegoż już cię utrzymać nie mogę!... O wy!.. o mój piękny świecie!.. żegnajcie..."



ZYMIO

(OBRAZ WE CZTERECH CHWILACH).

NADZIEMIE.

CHÓR DUCHÓW,

(między chmurą a ziemią).

Chłodna przestrzeni! Królestwo cieni! witajcie; zdroje
kropliste, jesienne świsty! igrajcie.

Czas skrył w tój stronie, Słońce twe skronie, czary im
zwlókł; Płyn Chmuro w górze, lej na świat burze; desz-
cze i zmrok.

CHMURA.

Ja płynę, lecę i igram; i nie pytam cię, roju duszny!
o rozkaz — Jam nie ziemia, jęj lud, tyś nie gwiazda. —
Ślę wichry i leję deszcze, a nie pytam cię, roju! o rozkaz. —

GWIAZDA DRUGA.

Tego, któremu świecę z rozkazów wyższych. — Widzisz go? — ten czarny i mały, niegdyś w tym końcu ziemi będący, w tym końcu skwarnym, teraz tam w tę stronę zimną przeniesiony.

GWIAZDA PIÉRWSZA.

Jakiż los jego?

GWIAZDA DRUGA.

Smutny.

GWIAZDA PIÉRWSZA.

Co to los smutny?

GWIAZDA DRUGA.

Zgryzoty i rychła śmierć.

GWIAZDA PIÉRWSZA.

Co to są zgryzoty na ziemi?

GWIAZDA DRUGA.

Nudzisz mię, gwiazdo.

DUCH PIÉRWSZY

(między chmurą a ziemią).

Słyszalcie?

DUCH DRUGI.

Co?

DUCH PIÉRWSZY.

Ta gwiazda rzekła, że temu czarnemu świeci jak inne innym. Znam go i widzę, oto on stoi tam, gdzie teraz spada ta chmura.

DUCH TRZECI.

Gdzie deszcz blizki, i zimne grać zaczynają wichry.

DUCH PIÉRWSZY.

Lećmyż i przypatrzmy się bliżej temu czarnemu; jego zgon rychły, i mówiła gwiazda że ma zgryzoty. — Przypatrzmy się bliżej licu i zgryzotom tego czarnego.

DUCH TRZECI.

Lećmyż; choć tam blask usypia i marznie; a pieśń śpiewajmy — My pieśń śpiewamy wyroku; a chmura, ta głupia chmura, sądzi — że rozkaz.

CHÓR

(lećąc bliżej ku stronie na którą patrzył).

Chłodna przestrzeni! Królestwo cieni! witajcie; zdroje kropliste, jesienne świsty! igrajcie i t. d.

1.

Na ziemi; w téj stronie ziemi gdzie chłodniej, obok pięknego domu wiejskiego, w inne kształtne budowy mniejsze i drzewa ocienionego; pod jedném

z drzew stało dwóch ludzi, odmiennej barwy i odmiennych wzrostów; lub raczej: jeden z nich tylko stał wsparty na prostym i ostrym narzędziu którym kopał; — a drugi kopał. —

Oparty, stał jakiś czas w zamyśleniu i patrzył przed siebie; potem wrzucił narzędziem które trzymał w rękę; wcisnął je silnie w ziemię; wsparł się o nie znowu, i rzekł:

— „Tak ludzie; ja wam nie zajrzę. — Moja postać, to postać karła; moje ciało — węgiel nie ciało, lecz wam nie zajrzę; — duch jeden w *każdym*, mówią owszem silniejszy pośród ciała małego. — Ono węgiel, tak, węgiel, jako mówicie; lecz podobno bielsze jest ono, a niżeli — myśli serc waszych.“ —

— „Cicho, Zymio, usłyszysz cię nasza Pani, kop ziemię“ —

— „I cóż mi ta Pani uczyni?... każe mię ochłostać?... i cóż stąd? robota czy chłosta, to jedno... O! złem rzekł: *jedno*; — Chłosta krótsza.“ —

— „Krótsza?... tak; — wolę jednak dzień pracy niż chwilę chłosty. — Chłosta Zymio, to — *kara*; chłosta Zymio, to *wzgarda*; chłosta, *ból*. — Nasza

praca, praca jak drugich; *któż* nie znosi pracy na ziemi? każdy taką, do jakiej stworzon. —

— „Każdy taką do jakiej stworzon, tak; — lecz kto stworzon aby nie znosił, nie znosi.“

— Chłosta mówisz, to kara, ból, wzgarda; o! ta chłosta to moja codzienna i s pracą. — **Ludzie!** cóżem zawinił, żeście mię za przedmiot śmiechu obrali?... sami tu wzięliście mię. — Byłem mały kiedy mię oni wzięli. — Byłem mały i byłem czarny, i bawiłem się wesoło wśród czarnych, szczególnie pod ciepłym słońcem. — Spokojny spałem na liściach, na dużych liściach, kraju mojego, pod liśćmi... I oni wzięli. — Wzięli mię; tu przywieźli, i rozkazali — kopać; — i nie przywieźli nikogo s tych co mi byli podobni; i szydzą; szydzą ze mnie biali — żem: czarny, żem s krajów innych. — Cóż mię tu wiąże, Marjan, co straszy?... nie wiąże nic; straszy wszystko, jako ja drugich. — Rok 20 już kończę Marjan — już rok 20. — A żyję tylko wśród tego co mi jest obrzydłe; pośród was, białych; — a biali mi są obrzydli, bom im obrzydli; ciebie tylko Marjan, ciebie tylko kocham coś więcej, bo robisz zemną, bo mówisz...“

— „A nasze Panią?” —

— „Tak jak mnie ona.” —

— „Jakoż chcesz aby kochała cię Pani, ciebie Zymio, robotnika, kopacza, murzyna? — a jednak ona lubić cię musi. — Ileż to razy, zasłużona chłosta omija cię. — Ileż to razy twój gniew, twoja krnąbrność dla niej, zakończy się jej uśmiechem? — Wczoraj kiedyś stąd odszedł, a dziewczęta co tu robiły wyszydzwały cię; Pani przysłała i ostro zgromiła dziewczęta. —

Zymio ściągnął brwi czarnego czoła; wyjął ostre narzędzie na którym był wsparty; i począł kopać. —

2.

Pani domu siedziała na miękkiej sofie (było to w kilka lub więcej miesięcy po owej rozmowie), wspierała się czołem o rękę którą trzymała na stole; siedziała i zawołała:

— „Zoniu, pójdz, moja Zoniul!... Proszę cię Zoniu, idź w ogród, i niech przyniosą mi malin; — niech je przyniesie Zymio.” — Zonia poszła.

— „To dziwna! rzekła sama do siebie Pani, kiedy Zonia wyszła; — dla czego ten dzień mi nudny w którym nie widzę Zymio... tego czarnego negra?... to negr szlachetny!...”

Na ziemi tej wirów uczuć, upadków ich, lotów; zmiany tych uczuć, odcienia, nie wyliczone są myśla. — Pani domu (o której mówimy) była to Pani — uczuć pięknych i wzniosłych; może nawet niekiedy (tak przynajmniej mówiono), za nazbyt wzniosłych. — Czyli to było skutkiem jakiegoś wzgardy dla świata, czy jakiegoś urazy do świata, czy myśli narownej, czy w widoku mniej powszedniej a wyższej; Pani ta odgrodziła się wolą od reszty świata; i młoda, niezależna, rozmyślna, stworzyła nowy pośród ścian swoich, i znajdowała szczęście w tym świecie.

Dla zwiększenia rozrywki, tej rozrywki czysto domowej, Pani domu nabyła — negra. — Ten negr był jej czas niejaki przedmiotem żartów i śmiechów, dalej stał się przedmiotem zajęcia. — Pani domu była uczuć wyższych, mówimy, wartości ludzi nie oceniała według przygodniej, zwaną *światową*, miary. — Czy ten sąd był już skutkiem jej stałej nie zmienną wiary w ten sposób; czy też tylko był

podobieństwem, odbiciem, okresów przechodnich, dodatnich, lubo znowu (na czas jakiś przynajmniej) ujemnych, pośród ludzkości?

— „Mój Zymio, jak tyś prędko zebrał maliny, — tak ładne. — Jak one odbijają od twojej ręki (dodała śmiejąc się); — O! rozumiem dla czegoś tak prędko zebrał. — Wy murzyni lubicie wszyscy ten kolor malin.“

— „Czy przy twym ręku na stole, czy na ziemi przy twoich nogach, mam postawić ten koszyk malin, Pani?“ —

— „Przy moich nogach.“ —

Zymio położył na ziemi przy nogach pani koszyk malin — i odchodził. —

— „Mój Zymio, ja ci nie wierzę, wróć się; — zawołała nań Pani z uśmiechem; ty mnie chcesz otruć? wy murzyni, wytruliłyście wszystkich nas białych; tym bardziej ty, swoje Panią, bo Pani. — Skosztuj Zymio, kilka s tych malin, bo ci nie wierzę.“ —

Zymio wrócił; uśmiech szczęścia rozjaśnił rysy czarnej ale szlachetnej twarzy; jedną z jasnych malin wziął s kosza i włożył ją do swych ust, do tych malin czarnego lica swojego.

— „Mój Zymio, podziękuj mi za to i ucałuj mi rękę ustami; — lub, prawda, tyś mój niewolnik, dodała z uśmiechem; uklękniij, i ucałuj mi nogę.“ —

Zymio ukląkł i ucałował rękę. —

— „Mój Zymio nagrze szlachetny, ja ciebie — lubię. — Albo raczěj, tak, ja cię kocham.“ —

Zymio upadł; i ucałował stopy swój Pani. —

N A D Z I E M I E.

CHÓR DUCHÓW.

Blaski promienne! Róże wiosenne! wy znikły. Pożarne luny, skwary, pioruny, wam loty!

Kraj ten nas bawi, ród ten nas bawi, latajmy! Latajmy duchy! zwracajmy słuchy, zwracajmy!

DUCH PIĘRWSZY.

Gdzież czarny, na któregośmy los spoglądali?.. Zawsze jęczący, ziemię bijący, kopiący, gdzież skrył się?

DUCH DRUGI.

Widzę go; o! on dzisiaj nie jęczy.

DUCH PIĘRWSZY

Głupi czarny! gwiazda mówiła że jego koniec jest rychły.

DUCH DRUGI.

Głupia gwiazda! powiedz to raczěj; ona rzekła że będzie

miał zgryzoty i rychły koniec. — Widzę go: on najszczęśliwszy wśród ludzi.

DUCH TRZECI.

Jego pani, ta jego piękna pani, polubiła jego nad innych.

DUCH DRUGI.

Odziała w szaty, otoczyła w wygody, i kocha go.

DUCH TRZECI.

Może go pojmie za męża.

DUCH PIERWSZY (*śmiejąc się*).

Ona?... kobieta?... pani?... za męża negra? ...

DUCH DRUGI.

Wnet ujrzym. . lećmy!

DUCH PIERWSZY.

Tak, lećmy! lubo czas miłszy tam minął, lećmy! lubo ogień grożą, śpiewajmy!

Blaski promienne! róże wiosenne, żegnajcie! Pożarne lany, skwary, pioruny, igrajcie! i t. d.

3.

Biegł sierpień; w tymże właśnie pokoju, pokoju ładnie ubranym, w którym przed miesiącem pani domu odbierała maliny z rąk Zymio, siedział dziś Zymio za obiadowym stołem i jadł; z nim jadł

razem i siedział naprzeciw: *Teobald*, marszałek dworu pani jego, świeżo przybyły z miasta.

— „Zymio! otrzyj jeszcze usta serwetą, serwetą białą, rzekł sztydząc marszałek dworu; tak mi przyjemnie patrzeć kiedy ocierasz usta; jak ta serweta od lica twego, tak lice od téj serwety odbija.“

— „Kiedy ci miło, więc patrzaj rzekł Zymio, i otarł usta.

— „Zymio! będziesz musiał sfolgować z swéj dumy; twój nowy pan wkrótce weźmie cię króćć jak twoja pani, czyś widział swego pana przysłego?“

— Zymio roztworzył usta; białki oczu, zdało się iż się rozlały po całej przestrzeni oka, wybiegły ze źrenic.

— „Mego pana? — Ja nie mam i nie będę mieć pana. — Mam tylko panią, tak; i nie będę nigdy mieć pana.“

— „Wkrótce go poznasz... poznasz go wnet po swém przybyciu do miasta; *Książę N...* narzeczony (tak, jeśli się nie mylę, narzeczony) twój pani, odwiedza ją w mieście co dnia; źle mówię co dnia, co chwila.“

— „Książę N?...“ Zymio białki oka z razu zaledwie nie wyparł ze źrenic, ale wnet rozsmiał się.

— „Odurzyłeś mię i jam się zapomniał; pani nasza za mąż nie pójdzie;— nie pójdzie, bo ona kocha; a kocha nie księcia; nie w mieście; ona kocha... tak, dodał Murzyn uśmiech czyniąc swojemi usty, muszę to wyznać, (czegobym może nie wyznał gdybyś mnie nie rozjątrzył) kocha *mnie*..”

Zymio z całym pokojem, pokojem powróconym, ufnością, wymówił te słowa: on sam kochał, i po raz *piérwszy*.

— „Jutro Zymio jedziesz do miasta i ujrzysz.”

— „Tak, jadę; bo moja pani mię wzywa, jam przeczuwał to że mię wezwie.”

— „Tak, czyn mogłeś przeczuwać, ale nie czynu przyczynę;— tak; twa pani być może iż dla miłości cię wzywa, ale dla własnej.— Teraz moda trzymać w mieście murzynów.— Twoja pani ubrała cię tu, i cieszyła się tobą; tam ubierze cię jeszcze lepiej, i jeszcze więcej cieszyć się tobą będzie.— Tak, istotnie, ledwo nie więcej, jak gdy ten twój pan, którego ci wrózę, ten książę N. piérwszy raz ją w mieście odwiedził.— Twoja pani odmieniła się od téj chwili. Stała się zamyśloną a dumną od tych odwiedzin.”

Zymio śmiał się.

4.

Czwarta i ostatnia chwila powieści o Zymio, o negrze Zymio— jest w mieście.

W pokoju, jednym s tych które były wynajmowane w mieście przez jego Panią, albo też jaśniej w przedpokoju, siedział *Marjan*, dziś sługa galonowany;— stał najprzód w oknie, usiadł;— a po jakim czasie wszedł *Zymio*.— Zawsze czarny i może straszny, dziś był straszniejszy niż zwykle, wszedł nie zdejmując czapki; bielmem oczu ciskał słup gniewu, malinowe usta miał sine.— Wszedł; w jedném ręku trzymał otwarcie garść włosów, i rzekł:

— „Czego tu siedzisz, *Marjan*?... Te włosy, te gładkie włosy, czyje to, sądzisz?... to tego co tam w ogrodzie śmiał się; co *śmiał się*.— O! ładny był, biały, tak; a w ręku swym trzymał drugą— bielszą.— Trzymał rękę i patrzył w oczy, potem opuścił rękę a ucałował oczy.— Ale ten ogród, *Marjan*, przypominał mi drugi; pół chwili, i miałem już w ręku— te włosy.— Ha! mam coś jeszcze w tym drugim— to serce.— To serce s tych samych piersi, co odychały pod głową s której te włosy.— O! rokosz,

Marjan... Mój nóż był jeszcze w tych piersiach, w dłoni włosy lecz jeszcze na głowie... i cóż?... jam sądził... że ona, jak lwica rzuci się na mnie... a ona... ona się należące ciało rzuciła, usta swe przycisnęła do zbielełego lica, i wnet — zbieleło jęj własne. — O rokosz, Marjan... dwoje *szczęśliwych* tak leży... O!... czemuż nie dano mnie oka? bym ich wszystkich na świetle tak ujrzał i tak położył.

Mój Marjan; pozwól mi, siadę... Jakżem ja głupi... kiedym ujrzał dziś tego *Księcia*, ujrzał raz pierwszy, ona także spojrzała na niego, i uczyniła uśmiech. — I cóż to uśmiech?... Jakżem ja głupi. Marjan, tak;... spocznę.“ —

Zymio usiadł, wsparł się o stolik, i czapkę której nie zdejmował, nasunął na oczy. —

W tém wszedł marszałek Teobald wychodząc s pokojów, i spojrzawszy na Marjana w przechodzie, rzekł:

— „Już.“ —

— „Co Panie?“ —

— „Już mamy pewność. — W tej chwili się *zaręczyli*, pierścionki swe zamienili, zamianie pobłogosławił Xiądz; — nawet zwyczajem dawnym dali

sobie pocałunek wzajemny; — miesiąc, a będziemy już na usługach Księżnej — Pani. — A toż co?... Zymio?... Co ci to Zymio?... czemuś tak nakrył twarz?... Co mu jest Marjan?... Czy pil?...“

Marszałek zbliżył się do stolika i zdjął z oczu czapkę negrowi. — Marszałek i Marjan wzdrygnęli się. — Twarz była nie czerwona, gorąca: ale tylko — czarna i zimna. —

Zymio nie żył.

A dwa *chóry duchów* nad ziemią ozwały się i śpiewały dla ponadziemia.

CHÓR PIÉRWSZY.

Ruch słodki skrzydlaty: żegnajmy te światy, żegnajmy! Nad wichry i chmury, w krajiny natury, wzlatajmy!

CHÓR DRUGI.

O serca... o plemie!... o lepsze nadzieie!... lot wzbijmy! Tych ludzi, ich dole, te myśli w ich czołach, przeklinajmy!

(*Chory lot rozpoczęły, ale zawisły na chwile, słysząc głos gwiazd*).

GWIAZDA DRUGA DO PIÉRWSZÉJ.

Widziałas?

GWIAZDA PIÉRWSZA.

Co?

GWIAZDA DRUGA.

Duch mego negra.— Przeleciał.

GWIAZDA PIÉRSZA.

Dokąd?

GWIAZDA DRUGA.

Dokąd, nie wiem; wiem tylko że już przeleciał — Biedny był Negr.

GWIAZDA PIÉRSZA.

O tak jest, biedny; patrzyłam. Patrzyłam do końca na jego ciało na ziemi. Plemię ludzi mówią że jest rozumne, ale nie jest to, gwiazdo! szczęśliwe plemię. Jak mi żal żem patrzyła na tego negra. Co sprawiło że ona, ta jego pani, tak polubiła go była?

GWIAZDA DRUGA.

Bo był to — negr.

GWIAZDA PIÉRSZA

W czém przewinił, że potem go porzuciła?

GWIAZDA DRUGA.

Bo był to — negr.

CHÓR (*lecco*).

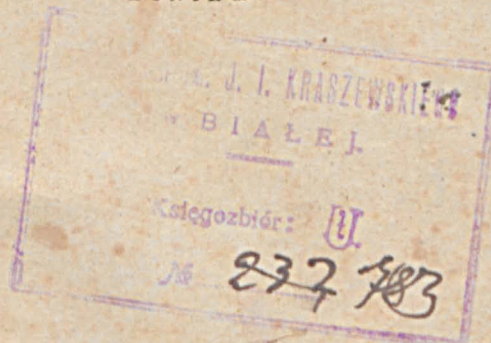
O serca. . o! plemię! o lepsze nadziei! lot wzbijmy! —
Tych ludzi, ich dole, te myśli w ich czole, przeklnijmy!

— „Nie urągaj myślom na czole,“ przerwał i rzekł *Promień słońca* który był błysnął, „milcz chórze! — dla czego urągasz myślom? Łaj ziemi, łaj dolom, łaj czasem, lecz nie łaj myślom. — Czy znasz je? Kto jest, któryby znał *treść, cel, kres*, myśli na ziemi? tój tam wielkiej *figury myśli* tak długo martwój, wpółżywój, ledwo w odrostkach błyskającej, ledwo wstającej. — Człowiek z ziemi nie zna przyszłości ni siebie; wy znacie siebie, nie więcéj — Nie łajcie myśli!

Duchy zatrzymały się, aby wysłuchać słów *promienia*, i wysłuchaly; był jeden który chciał odrzec, ale chór nie dał. Patząc na coraz dalszą, coraz drobniejszą ziemię przed sobą, ulatywał, i ulatując śpiew ciągnął:

„Ruch słodki skrzydlaty, żegnajmy te światy, żegnajmy! nad wiatry, nad chmury, w kraj inny natnry, wzlatajmy! i t. d.

K O N I E C .



Morena (Marana, Marzana), nazwa bogini Śmier-
ci u dawnych Słowian.

Muzeum im. J. I. Śniadeckiego

W BIAŁYM

Kolegiata U.

M 22 783

